PETER BOŠKO

W drodze ku lepszemu społeczeństwu



Moja osobista droga do idei projektu Viditeľné peniaze

Spis treści

1 Wstęp....4
2 Jestem świadomy, że jestem świadomy – jestem tym, który jest....5
3 Niebo nad Klokočiną....9
4 Serafína....10
5 Wczesne dzieciństwo....11
6 Wychowanie religijne....12
7 Liceum i wyraźny kierunek przyszłej kariery....12
8 Pierwszy rok w liceum....14
9 Pogrzeb mamy ojca....15
10 Pierwsze projekty programistyczne....17
11 Uniwersytet Ekonomiczny....19
12 Lato w Ameryce....23
13 Pierwsze zetknięcie z ideą projektu Viditeľné peniaze – twórczość Neale'a Donalda Walscha....25
14 Praca dla QBSW – projekt kasy państwowej....28
15 Rozmowa z Hildą....29
16 Med-art – zastępcza służba cywilna i publikacja artykułu....31
17 Ukrzyżowanie....33
18 Praha....34
19 Wakacje w Indiach....36
20 Irlandia....38
21 Sony i wypadek samochodowy....38
22 Powrót do Pragi....39
23 Infostat i projekt dla Eurostatu....39
24 Długa droga z Luksemburga do domu....41
25 Praca dla firmy oferującej roboty forexowe....42
26 Dofinansowanie zakupu samochodu....43
27 Praca dla korporacji....44
28 Przedstawienie projektu Viditeľné peniaze w jego obecnym kształcie....46
29 Funkcje projektu oparte na blockchainie....50
30 Zabezpieczenie projektu przed wszelkimi nadużyciami, zanim stanie się podstawą funkcjonowania społeczeństwa....52
31 Wybory prezydenckie....54
32 Ambicje polityczne....55
Pierwszy filar – zdrowy rozsądek....55
Drugi filar partii politycznej – pełna przejrzystość....56
Trzeci filar – globalny zasięg....56
33 Fragmenty osobistego bloga....58
Diebus solitudinis....58
Katka Knechtová – Spomaľ – osobliwy dialog....58
3 fundamentalne wyzwania współczesnej ludzkości i moja odpowiedź na nie....59

Jak działa karma.....63
Rozważania o koniecznej skończoności wszechświata.....64
Architektura systemu Viditeľné peniaze (VP) – pierwszy przejrzysty system bankowy zabezpieczony blockchainem 1.....66

1 Wstęp

Celem tego tekstu jest opisanie mojej osobistej drogi do idei projektu Viditeľné peniaze. Napisałem go w swobodnej formie: przedstawia historię mojego życia, od wybranych wydarzeń z wczesnego dzieciństwa aż po teraźniejszość. Często przeplatają ją myśli i rozważania, choćby o samym sensie życia i naturze istnienia, z którymi rzadko spotykałem się u innych autorów, a które, moim zdaniem, zasługują na więcej uwagi. Pisałem tak, żeby tekst podobał się również mnie samemu, dlatego miejscami może nie być obiektywny. Powstawał dość spontanicznie; pierwotnie miał obejmować znacznie szerszy zakres, lecz ostatecznie go zawęziłem. Pozostały jednak fragmenty, które mogą wydawać się zbędne, bo po prostu je lubiłem. Tu i ówdzie, aby nadać tekstowi dramatyzmu i tempa, wspomogłem się sztuczną inteligencją – ale czytelnik zapewne łatwo to rozpozna. Życzę Państwu inspirującej lektury, która pozwoli zrozumieć moje motywacje oraz powody, dla których uważam, że społeczeństwo może i powinno funkcjonować nieco inaczej: sprawniej pod względem gospodarczym, a zarazem lepiej, bardziej po ludzku, także w relacjach międzyludzkich.

2 Jestem świadomy, że jestem świadomy – jestem tym, który jest

Myślę, więc jestem. Trzy proste, krótkie i dobrze znane słowa. Pod względem znaczenia jest to jednak zdanie wyjątkowe z punktu widzenia wypowiadającego je człowieka. Z jego perspektywy ma bowiem stuprocentową wartość prawdziwości. Co to znaczy? Że we wszechświecie, w którym obowiązują podstawowe operacje logiczne, takie jak implikacja, tego rodzaju twierdzenie musi być prawdziwe w każdych okolicznościach.

Jeśli ten, kto to twierdzi, rzeczywiście myśli, to istnieje. Jeśli natomiast jest tylko iluzją, a nie rzeczywistą, myślącą istotą, implikacja pozostaje prawdziwa.

Jak jednak ktokolwiek może zweryfikować przesłankę tej implikacji, czyli to, że wypowiadający te słowa myśli? Cóż, z zewnątrz nie jest to możliwe. Przesłankę można zweryfikować ze stuprocentową pewnością jedynie od wewnątrz osoby, która ją wypowiada. O tym, że myśli, wie ze stuprocentową pewnością tylko ten, kto obserwuje myślenie w swoim wnętrzu. Kto go wewnętrznie doświadcza. Akt doświadczania, rozgrywający się w umyśle jakiejś istoty, jest najgłębszą esencją istnienia istot jako takiego.

Kiedy zastanawiałem się, czy istnieją inne zdania dające stuprocentową pewność z perspektywy wnętrza mówiącej osoby – podmiotu – przyszło mi do głowy jedno, które, moim zdaniem, skrywa tajemnicę istoty życia i spełnienia jego sensu. **Jestem świadomy, że jestem świadomy.** Uważam, że sięga ono znacznie głębiej w samo jądro istnienia niż zdanie Kartezjusza. Jego zdanie najpierw pośrednio podsuwa świadomość, a następnie, już tylko za pomocą implikacji, stwierdza to, co trzeba uznać. Tymczasem zdanie „Jestem świadomy, że jestem świadomy" nie odchodzi od postrzegania jako głównego tematu, lecz rekurencyjnie kładzie nacisk na akt bycia świadomym. A ponieważ stwierdza proces, który uważam za najistotniejszą esencję i sens życia, przez samo jego stwierdzenie, uznanie i zadeklarowanie ten sens spełnia.

Jeśli bowiem ktoś stwierdza, że jest świadomy, a nawet że jest świadomy własnej świadomości, mówi w istocie, iż jest autentyczną żywą istotą, która właśnie, by tak rzec, skorzystała z prawa do samostanowienia i deklaruje, że czerpie przyjemność z aktu samoświadomości.

To tak, jakby samo życie wypowiedziało własne imię. Jakby podmiot zasmakował czegoś, czego nie sposób wyrazić. Czystej obecności. Czystego istnienia. Największej tajemnicy. Samego sensu życia.

Doświadczanie tej przyjemności jest, moim zdaniem, najwyższym sensem życia. Sens ten częściowo ucieleśnia się w każdej przyjemności, jakiej doświadcza istota. Gdy na przykład zaspokaja głód lub jakąkolwiek inną potrzebę, akt samoświadomości jest w tym zawsze pośrednio obecny.

W sile stuprocentowej pewności, że człowiek istnieje i jest świadomy samego siebie, kryje się, moim zdaniem, istota egoizmu. Każda istota zawsze postępuje zgodnie z zasadą: najpierw ja. Nawet ci, których uważa się za altruistów, w rzeczywistości zachowują się egoistycznie. Tyle że ich hierarchia wartości jest tak ułożona, iż własne przetrwanie może mieć niższy priorytet niż na przykład pomaganie innym czy podążanie za jakąś ideą. Zasada egoizmu nie znika, jest jedynie maskowana zamiarami, które mogą pozostawać w sprzeczności z własnym przetrwaniem. Egoizm cieszy się złą sławą. Nie jest jednak zły – to po prostu prawo wynikające z tego, że istoty podświadomie nieustannie odróżniają stuprocentową pewność własnego istnienia od stosunkowo dużej niepewności co do istnienia innych. Swego czasu

napisałem artykuł, w którym wskazałem trzy fundamentalne wyzwania. Ich rozwiązanie przyniosłoby ludzkości największy postęp i warto poświęcić im energię. Wśród nich znalazło się odkrycie sposobu na uzyskanie równie mocnej pewności, że inni ludzie są tak samo rzeczywiści jak ja. Jest to jednak najtrudniejsze z tych trzech zadań i na razie nie widać światełka w tunelu wskazującego, jak można by je rozwiązać. Prawdopodobnie musi nastąpić zasadniczy przełom w rozumieniu przez ludzkość świadomości i procesów postrzegania.

W świetle tego, co powiedziałem, być może należałoby odwrócić kierunek badania wszechświata. Nie przyjmować za punkt wyjścia istnienia praw fizyki w otaczającym nas świecie zewnętrznym i z ich pomocą próbować wyjaśniać, jak mogło powstać coś takiego jak świadomość. Przeciwnie: to istnienie świadomości powinniśmy uznać za początek wszystkiego, z którego wywodzi się cała reszta. Badać zatem zewnętrzne prawa fizyki, pamiętając przede wszystkim, że ujawniają się one dopiero w świadomości, i mocniej skupić się na tym, co właściwie obserwujemy oraz w jakiej relacji może to pozostawać z naszą świadomością. Tak czy inaczej, osiągnięcia nauki z ostatnich dwustu lat budzą podziw, a jak mówi jedna z zasad zarządzania: nie zmienia się składu drużyny, która w taki sposób odnosi kolejne zwycięstwa. Z drugiej strony w badaniach nad świadomością od czasów średniowiecznych przesądów wydarzyło się bardzo niewiele, a może wręcz nic.

Gdy rozpatrujemy taki model poznania, którego centrum stanowi świadomość, nagle otwierają się perspektywy na to, co właściwie wiemy o świecie, mogące wręcz zaszokować typowych współczesnych materialistów. Jeśli świadomość naprawdę jest alfą i omegą wszelkiego poznania, czy nie jest możliwe, że pojawiająca się w niej pozytywna emocja okaże się tak silna, iż nie tylko doprowadzi do spełnienia jakiegoś pragnienia, lecz nawet sprawi, że świadomość zmieni naturę rzeczywistości, w tym niektóre prawa fizyki? Gdybyśmy na przykład wzięli zwykłe dzisiejsze dobro konsumpcyjne – laptop – przenieśli je w przeszłość i podłączyli do prądu, czy by działało? A może w toku rozwoju, gdy ludzie stopniowo odkrywali prawa przyrody, prawa te zmieniały się w czasie? Może zatem nie były odkrywane, lecz stopniowo przesuwane i zmieniane przez zbiorową ludzką świadomość?

Takie spojrzenie na naukę i rzeczywistość byłoby jednak zapewne przeciwskuteczne w czasach, gdy tradycyjne metody pozwalają nauce z tak zdumiewającym powodzeniem poszerzać poznanie. Mimo wszystko uważam, że warto pamiętać o takim wyjaśnieniu rzeczywistości jako alternatywie dla tradycyjnego myślenia.

Alternatywa stawiająca postrzeganie w centrum jako źródło prawdy o całym otoczeniu i o nas samych automatycznie podsuwa nie zewnętrzne prawa przyrody, rzekomo niezależne od ostatecznego obserwatora, lecz wyjaśnienia umieszczające świadomość tego obserwatora w samym środku wszechświata. A więc w tej chwili Państwa świadomość – świadomość czytelników tych słów. Właśnie, za pośrednictwem mojej świadomości, która rzeczywiście istnieje, stali się Państwo centrum wszechświata.

Nieodłączną częścią życia jest również doświadczanie rzeczy złych i nieprzyjemnych. Jest ono konieczne, by móc odróżnić dobro od zła. Gdyby człowiek przeżywał wyłącznie rzeczy przyjemne, po pewnym czasie przestałby doceniać ich pozytywną wartość i wszystko zlałoby się w jedną breję, w której nie sposób byłoby odróżnić, co jest lepsze od czegoś innego. Negatywne doświadczenia są zatem bardzo ważnym i koniecznym elementem przeżywania.

Tajemnica szczęśliwego, spełnionego życia polega na takim dawkowaniu pozytywnych i negatywnych przeżyć, by te drugie dawały człowiekowi właściwe rozeznanie w tym, co dobre, a co złe, a po nich przychodziły doświadczenia pozytywne, równoważące negatywy i przynoszące poczucie zadowolenia.

Proszę sobie wyobrazić, że mają Państwo cudowną lampę Aladyna, a dżinn potrafi spełnić każde życzenie. Najpierw poprosiliby Państwo o rozwiązanie spraw, które od zawsze doskwierały: o więcej pieniędzy, lepsze zdrowie, piękniejszy wygląd i tak dalej. Po pewnym czasie jednak by to Państwa znudziło – mieć wszystko bez najmniejszego wysiłku szybko przestaje być ciekawe.

Zaczęliby więc Państwo życzyć sobie rzeczy niosących element zaskoczenia, tak by nie mieć świadomie wszystkiego pod całkowitą kontrolą. Z czasem zrozumieliby Państwo, że nawet nieskończona gra pełna zwrotów akcji i nieoczekiwanych wydarzeń wciąż odbywa się we „własnej reżyserii". Pojawiłoby się pragnienie, by istniały rzeczywiste granice i zasady, których sami nie potrafiliby Państwo przełamać.

W końcu zapragnęliby Państwo zapomnieć o czarodziejskiej lampie i nieskończonej mocy. Chcieliby Państwo rzeczywistości całkowicie prawdziwej, utraty świadomości, że sami wszystko tworzą. I w tej chwili znaleźliby się Państwo dokładnie w takim życiu, jakie wiedziemy teraz: nie wiemy, co nadejdzie, staramy się, walczymy, uczymy, cierpimy, cieszymy się.

Człowiek nie chce już nieskończonych możliwości, lecz życia „w sam raz":

- z wystarczającą ilością niepewności, by było ciekawe,
- z wystarczającą ilością cierpienia, by miało sens,
- z wystarczającą ilością radości, by warto było żyć.

I tak koło się zamyka: nieskończone chcenie kończy się tęsknotą za zwyczajnym, rzeczywistym, konkretnym życiem. Chcieliby Państwo prawdziwego życia, takiego, jakie jest. Ze strachem, bólem, lecz także z radością. Ze wszystkim, co czyni je rzeczywistym.

Ludzkość znajduje się obecnie w punkcie, za którym czeka ją stosunkowo szczęśliwy okres. Dzięki technologiom i postępom medycyny będziemy mogli potencjalnie żyć wiecznie, a zarazem bawić się we wszechmocnych we własnych światach, tworzonych z pomocą takich technologii jak rzeczywistość wirtualna. Na podstawowym poziomie fizycznym, gdzie stawką będzie wszystko – samo życie – ludzkość zachowa więc zasady prawdziwego życia, jakie znamy. Potencjalnie będą w nim istnieć ból i cierpienie, ale dzięki rozwojowi technologii i podniesieniu standardów moralnych te negatywne strony zostaną prawdopodobnie ograniczone do minimum. Życie będzie tak dobre i tak wysokiej jakości, że coś takiego jak pójście na wojnę dlatego, że komuś zachciało się napaść na sąsiedni kraj, stanie się zupełnie nie do pomyślenia. Dziś jest to możliwe tylko dlatego, że jakość życia w takim kraju bywa tak marna, iż ewentualna śmierć na polu bitwy nie stanowi w gruncie rzeczy aż tak wysokiej ceny.

Sądzę, że w wirtualnych światach powstaną symulacje służące doświadczaniu negatywnych stron życia i ich właściwemu dawkowaniu. Będzie je jednak można w każdej chwili przerwać i z nich wyjść, nie tracąc ciągłości świadomości.

Ludzie będą tworzyć własne światy oparte na własnych, twórczych pomysłach, tak nowatorskich i wciągających, że zaczną się do tych światów wzajemnie zapraszać i oceniać przeżyte w nich

doświadczenia. Będzie to nowa forma życia towarzyskiego, która pojawi się po udoskonaleniu interfejsu człowiek–maszyna, a następnie po szerokim upowszechnieniu rzeczywistości wirtualnej.

Ambicją tej książki jest pomóc ludzkości w przejściu do oświeconego społeczeństwa, w którym dzisiejsze problemy świata będą jedynie przykrym wspomnieniem odległej przeszłości. Chcę pomóc w ten sposób, że na tle historii z własnego życia rzucę więcej światła i przedstawię uzasadniony osobisty punkt widzenia na poszczególne dziedziny, w których ludzkość, moim zdaniem, niepotrzebnie i ze szkodą dla siebie błądzi po omacku. Postaram się zaproponować spojrzenie na wiele spraw, którego podstawowe przesłanki staną się jasne dzięki zilustrowaniu ich konkretnymi historiami z życia.

Osobna część książki zostanie poświęcona mojemu projektowi Viditeľné peniaze. Chodzi w nim o takie przeobrażenie społeczeństwa, aby podstawowe bodźce ekonomiczne i moralne działały na rzecz nowego porządku świata. Porządku do szpiku kości sprawiedliwego i głęboko moralnego, nie tylko w relacjach człowiek => człowiek czy człowiek => przyroda, ale także człowiek => państwo i odwrotnie.

Zapraszam więc Państwa w podróż przez moje życie, u progu budowy nowego świata. Świata, w którym technologie otworzą ludzkości i całej planecie bramę do raju. Mimo obecnego rozdarcia i polaryzacji społeczeństwa uważam, że przy odrobinie szczęścia naprawdę niewiele potrzeba, by ludzkość wkroczyła w być może ostatni etap swojej zewnętrznej historii i w pełni, w pozytywny sposób, urzeczywistniła swój potencjał. Książka opisuje zasadniczą przemianę społeczeństwa: socjalną, gospodarczą, polityczną, społeczną, a być może także religijną.

Wszystkie historie z mojego życia mają rzeczywistą podstawę. Starałem się nie omijać również tych, które nie stawiają mnie w korzystnym świetle. Próbuję przedstawić prawdziwy obraz swojego wnętrza. Pominąłem jedynie sprawy, które nie wnoszą niczego do mojej opowieści albo których ujawnienie mogłoby komuś zaszkodzić bądź kogoś zranić.

3 Niebo nad Klokočiną

Przed burzą Klokočina skuliła się w mroku. Chmury wisiały nisko, powietrze było ciężkie, a w mieszkaniu na piątym piętrze dziecięcy pisk nagle się urwał. Rozpalone ospą ciałko niespodziewanie wiotczeje – oczy uciekają w górę, kolana się uginają i chłopiec osuwa się bezwładnie niczym szmaciana lalka.

„On... zemdlał" – wydobyło się z ust kobiety, bardziej szept niż krzyk.

Mężczyzna nie zawahał się ani chwili. Chwycił chłopca, przycisnął go do piersi i wybiegł na korytarz. Światło z czujnikiem zapaliło się z opóźnieniem, kroki dudniły na pustej klatce schodowej. A on biegł – nie w dół, lecz w górę, jakby tam czekała odpowiedź. Szósty, siódmy półpodest. Pierś paliła, oddech się rwał.

„Jaro, na dół!" – zawołała kobieta z piętra niżej. „Do samochodu, na pogotowie!"

Zatrzymał się na najwyższym półpiętrze. Spojrzał na Petka – wywrócone oczy, bezwładne ciałko. W tej pustce dotarło do niego, co zrobił. „Boże..." – wyrwało mu się, bardziej z wydechem niż ze słowem.

I właśnie wtedy na zewnątrz coś się poruszyło. Przez całe popołudnie niebo było zasnute chmurami, lecz na zachodzie na chwilę otworzyła się między nimi wąska szczelina. Zachodzące słońce trafiło pod idealnym kątem: przez prześwit przeniknęła cienka smuga światła, prześlizgnęła się przez brudne okno na półpiętrze i położyła na schodach ciepłym pasmem pomarańczu.

Na sekundę ręka mężczyzny przestała drżeć. Małe ciało poruszyło się krótko, ledwie dostrzegalnie. Potem jeszcze raz. Kobieta stanęła dwa stopnie niżej, przycisnęła dłoń do ust.

„Ocknął się" – powiedział mężczyzna z niedowierzaniem, bardziej do siebie. Kciukiem otarł chłopcu ślinę, dłonią pogładził go po twarzy.

Promień utrzymał się zaledwie przez kilka uderzeń serca. Chmury znowu się zwarły, pomarańcz zgasł, a klatka schodowa wróciła do szarego półmroku. Kierunek nagle stał się jasny.

„Idziemy" – powiedział stanowczo.

Kobieta odwróciła się po klucze. Mężczyzna przytulił Petka ostrożniej – nie jak ciężar, lecz jak dar – i tym razem skierował się w dół. Na ścianie pozostał tylko blady, szybko znikający pas ciepła. W nich obojgu został jednak wyraźny punkt: krótka, cicha chwila, gdy chmury rozstąpiły się dokładnie wtedy, kiedy tego potrzebowali.

To w znacznej mierze prawdziwa historia z mojego dzieciństwa, którą mama często mi opowiadała. Jako dziecko byłem bardzo chorowity i raz rzeczywiście straciłem przytomność, a ojciec, zamiast biec ze mną na dół do samochodu, instynktownie ruszył w przeciwną stronę – co być może ostatecznie przyczyniło się do szczęśliwego zakończenia tej historii.

4 Serafína

„Spróbuj nauczyć się go na pamięć” – powiedziała, stojąc przy kuchence i mieszając w garnku dużą drewnianą łyżką. Para unosiła się ku sufitowi, a wraz z nią zapach powideł.
„Już umiem” – odparłem i bez wahania zacząłem: „Ojcze nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje, bądź wola Twoja jako w niebie, tak i na ziemi. Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom; i nie wódź nas na pokuszenie, ale nas zbaw ode złego. Amen”.

Kobieta przy kuchence była moją babcią – babką, jak wszyscy ją nazywaliśmy. Nosiła imię, którego nigdy później nie usłyszałem u żadnej innej żyjącej osoby: Serafína. Podobno miała nazywać się Alžbeta, ale jej matka chrzestna podczas chrztu niespodziewanie wypowiedziała inne imię i tak już zostało. Kiedyś, przeglądając znaczenia imion, natrafiłem na wyjaśnienie pasujące do niej co do joty: serafini – istoty anielskie, które nieustannie śpiewają w niebie na chwałę Boga. Ona śpiewała na Jego chwałę całym swoim życiem.

Jej wpływ na moje życie duchowe zaczął się dosłownie od mojego pierwszego oddechu. Katolicki proboszcz odmówił ochrzczenia mnie – ojciec był ewangelikiem, mama katoliczką, a małżeństwa mieszane nie były wówczas pod względem religijnym prostą sprawą. Babcia nie zwykła czekać, aż świat podejmie decyzję za nią. Napełniła miskę wodą, uczyniła nade mną znak krzyża i wyszeptała słowa, które kilka lat później usłyszałem ponownie z ust księdza: „Ja ciebie chrzczę w imię Ojca i Syna...”.

Ochrzciła mnie sama, spokojna i stanowcza, jakby robiła to od zawsze.

Mijały lata. Po upadku reżimu, kiedy drzwi kościołów przestały już tylko po kryjomu się przymykać, a wiara znów odetchnęła swobodniej, jeszcze raz wzięła mnie za rękę. Zadbała, by stało się wszystko, co powinno: słowa chrztu zabrzmiały w kościele głośno, a później przyszły pierwsza komunia święta i bierzmowanie.

Dziś wiem, że moja droga do wiary nie zaczęła się od teologii, lecz od pary unoszącej się znad garnka i głosu kobiety, która wierzyła całym sercem. I że jestem ochrzczony dwa razy: raz przez nią, wkrótce po urodzeniu, gdy na moment stała się kapłanem, i raz w jej obecności, gdy została moją matką chrzestną. Pomiędzy tymi dwoma chrztami rozegrała się większa część mojego dzieciństwa.

5 Wczesne dzieciństwo

Do moich najwcześniejszych wspomnień należą lekcje w pierwszych klasach szkoły podstawowej – a dokładniej czas, gdy umiałem już czytać i nagle mój świat poszerzył się o wszystko, co mieści się między dwiema okładkami książki. Pochłaniałem, co tylko wpadło mi w ręce. Najpierw powieści Maya: szybkie konie, szczere słowa, honor ostry jak nóż. Pozostawiły w moim sercu głębokie przekonanie, że ktoś powinien chronić słabszych, i gdzieś wtedy zaczęło się kształtować moje poczucie sprawiedliwości.

Niedługo potem na moich półkach zamieszkał Jules Verne. Jego powieści, szlifując moją wyobraźnię, zaszczepiały mi szacunek do postępu technicznego – nie jako sztuczki będącej celem samym w sobie, lecz jako narzędzia, które prowadzi ludzi naprzód.

Również w szkole było co zbierać. Na historii po raz pierwszy usłyszałem opowieść o Piotrze Wielkim: jak na pewien czas zatrudnił się w stoczniach Europy Zachodniej, by nauczyć się fachu, a potem to, co zobaczył i poznał, przeniósł do rosyjskich stoczni, a ostatecznie także do zarządzania carstwem. Fascynowały mnie prostota i zarazem genialność tego postępowania. Wyciągnąłem z niego jasny wniosek: kto chce naprawdę dobrze rządzić, musi rozumieć również sprawy techniczne – te ważne rzeczy, na których opierają się państwo, handel, rzemiosło i cała gospodarka.

Przełomowym bodźcem dla mojego czytelniczego rozwoju była przyjaźń z kolegą z klasy, Rasťem. Prześcigaliśmy się w tym, kto co przeczytał i kto przyniesie następną „zdobycz". Rasťo miał dar odkrywania książek tam, gdzie nikt by ich nie szukał. Moją pierwszą książkę o Tarzanie – panu małp – pochłonąłem dzięki zszytym odcinkom z gazet, które jego ojciec zebrał jeszcze jako chłopiec. Papier pożółkł, brzegi się strzępiły, ale opowieść promieniała. Niektórych stron brakowało; wyobraźnia musiała je dopisać sama. To również był trening: uczyć się wypełniać luki, zamiast pozwalać, by nas zatrzymywały.

Mama Rasťa uczyła matematyki w sąsiedniej szkole. Dla nas oznaczało to coś więcej niż dobre oceny. W razie potrzeby cierpliwie udzielała nam dodatkowych lekcji, przygotowywała do egzaminów wstępnych, a przede wszystkim uczyła zadawać pytania. Kiedyś przyszedłem do niej z własnym małym matematycznym buntem.

– Dlaczego dzielenie przez zero jest niedozwolonym działaniem? – wypaliłem. – Przecież jeśli podzielimy liczbę dodatnią przez zero, wynikiem powinna być nieskończoność.

Uśmiechnęła się, ale w oczach miała ów przysłowiowy nauczycielski spokój, który nie gasi ciekawości, tylko nadaje jej kierunek.

– Ile to jest 3 : 0? – zapytała.

– Nieskończoność – odparłem bez wahania.

– A ile to jest nieskończoność razy 0?

– Zero – powiedziałem po krótkiej pauzie.

– No właśnie – odpowiedziała cicho. – Sprawdzenie ci się nie zgadza.

Nie było w tym drwiny. Zrozumiałem wtedy, że w matematyce, podobnie jak w książkach, nie chodzi wyłącznie o chwytliwy pomysł, lecz o spójność zasad, które utrzymują świat w całości. Od tamtej pory z większą pokorą patrzyłem na „nieskończoności", utrwalone reguły i wiedzę.

6 Wychowanie religijne

Po złagodzeniu ograniczeń religijnych w 1989 roku – miałem wtedy 10 lat – po raz pierwszy trafiłem na prawdziwą mszę. Znów wybraliśmy się razem z Rasťem do centrum Nitry, do kościoła przy ulicy Farská. Wydaje mi się, że weszliśmy na lewy boczny chór, żeby mieć lepszy widok. Podczas przeistoczenia i komunii świętej wydarzyło się coś dziwnego. Patrząc w dół na ołtarz, nagle zobaczyłem światło, które zaczęło się rozszerzać niczym przy wybuchu. W jednej chwili pochłonęło mnie i cały kościół. Zemdlałem i ocknąłem się dopiero, gdy siedząca obok nas pani klepała mnie po twarzy.

Kiedy dowiedziały się o tym mama i babcia, przez chwilę zastanawiały się, czy powinienem chodzić na msze. Na szczęście podczas kolejnych wizyt w kościele już się to nie powtórzyło. Pomyślałem, że jestem ciekaw, co się stanie, gdy sam przystąpię do komunii świętej, skoro już samo obserwowanie kulminacyjnego momentu mszy, kiedy zgodnie z liturgią katolicką ksiądz przemienia chleb i wino w ciało i krew Chrystusa, sprawiło, że zemdlałem.

Taką wrażliwość na katolicką liturgię chyba mieliśmy w rodzinie. Kilka lat później babcia opowiadała mi bowiem, że podczas komunii świętej widziała na hostiach jakby jasne, srebrne, unoszące się krzyże. Jej zdaniem musiał je widzieć również ksiądz, ponieważ jego reakcje wyraźnie na to wskazywały. Zwykle nie przywiązywałbym wagi do takiej opowieści dość już starszej osoby, którą mogą zwodzić zmysły, ale przypomniała mi ona moje własne przeżycie ze światłem rozchodzącym się z samego centrum liturgii.

Babcia dopilnowała, żebym niedługo po upadku reżimu zaczął chodzić na katechezy przygotowujące do chrztu i pierwszej komunii świętej. Chyba co niedzielę odwiedzałem kościół w Mlynárcach, gdzie odbywały się te przygotowania. Zawsze chodziłem tą samą drogą, prowadzącą obok pewnego domu, w pobliżu którego rosła wielka czereśnia. Raz, gdy tamtędy przechodziłem, właśnie dojrzewały owoce. Duże, smakowite sercówki. Jak się później okazało, miałem w przyszłości bardzo często wracać do tego drzewa. Do dziś co roku, na przełomie maja i czerwca, kosztuję jego owoców. Jakby było mi pisane. Czasem mam wrażenie, że moje życie jest w dużej mierze z góry określone, a moim zadaniem pozostaje jedynie właściwie zebrać wszystkie wskazówki i wypełnić swój los.

7 Liceum i wyraźny kierunek przyszłej kariery

Pod koniec szkoły podstawowej stanąłem przed wyborem dalszej drogi. Kilka razy uczestniczyłem w zajęciach przygotowujących do egzaminów wstępnych do klasy dla dzieci uzdolnionych matematycznie w liceum Párovské. Doszedłem do wniosku, że chyba nie jestem aż tak uzdolniony w tej dziedzinie. Spotykałem tam rówieśników, którzy zapewne mieli solidniejsze podstawy, bo uczęszczali do specjalistycznej podstawówki dla dzieci uzdolnionych matematycznie, i reagowali na pytania nauczyciela znacznie szybciej ode mnie. Ja też zdawałem kiedyś egzamin do tej szkoły i nawet się dostałem, ale leżała daleko, na drugim końcu miasta, a rodzice uznali, że nie warto komplikować sobie codziennych dojazdów.

Na tych zajęciach matematycznych zwróciłem uwagę na jednego z moich przyszłych kolegów z klasy. Choć nie chodził do wspomnianej podstawówki dla dzieci uzdolnionych matematycznie, i tak przewyższał wszystkich – był to Tibor.

Ostatecznie wybrałem liceum, które miało specjalistyczną klasę z rozszerzonym programem nie matematyki, lecz programowania. W siódmej lub ósmej klasie rodzice kupili mi bowiem za niebotyczną jak na tamte czasy sumę pierwszy komputer – PC AT 386SX. Moja miłość do komputerów była jedną z tych od pierwszego wpisanego polecenia. Dużą rolę odegrał w tym mój stryj, brat ojca, Zdeno. Był dyrektorem firmy specjalizującej się w sprzedaży komputerów. Jego żona, ciocia Katka, uczyła w podstawówce, do której chodziłem. Pewnego razu zapytała, czy nie chciałbym przyjść do nich obejrzeć nowego komputera. Nie zawahałem się ani sekundy i jeszcze tego samego dnia przez dwie godziny dreptałem przed ich domem, czekając, aż kuzynka wróci ze szkoły i wpuści mnie do środka, do komputera.

Był to tylko Commodore 64, ale kiedy wszyscy zobaczyli mój zachwyt, ojciec po rozmowie ze stryjem słusznie uznał, że warto wesprzeć tę pasję: komputery są przyszłością i pewnego dnia mogą mnie utrzymywać. Gdy zdałem egzaminy do klasy programistycznej, mój los został przypieczętowany – zostanę programistą albo, jak zaczęto później mówić, inżynierem oprogramowania.

8 Pierwszy rok w liceum

Pierwszy rok liceum był dla mnie do pewnego stopnia szokiem. Nagle nie byłem już najlepszym uczniem ze wszystkiego poza muzyką, jak w szkole podstawowej. Trafili się tam goście wyraźnie lepsi ode mnie z matematyki, fizyki, a także z przedmiotów innego rodzaju, choćby języków obcych. Pierwszy wstrząs przeżyłem na drugiej lekcji programowania, gdy nauczycielka wywołała mnie do odpowiedzi zupełnie nieprzygotowanego. Już na drugiej lekcji dostałem trójkę z odpowiedzi ustnej z przedmiotu, w którym chciałem błyszczeć – z programowania. Dotąd było to dla mnie nie do pomyślenia. Szybko zrozumiałem, że nie będzie tak łatwo jak w podstawówce, gdzie wystarczało mi na przerwie przed lekcją zajrzeć do materiału z poprzednich zajęć i spokojnie zbierałem same najwyższe oceny.

Tutaj trzeba było harować. Rzetelnie przygotowywać się do każdej lekcji, przynajmniej na tyle, żeby ewentualne wywołanie do odpowiedzi czy niezapowiedziana klasówka nie zaszkodziły tak bardzo, że stracę szansę na najwyższą ocenę na świadectwie. W pierwszym półroczu celowałem w same najwyższe oceny, ale nauczycielka historii zmieniła mój cel. Gdy pod koniec półrocza zgłosiłem się do odpowiedzi i powiedziałem, że chcę dostać najwyższą ocenę, bo zależy mi na komplecie takich ocen, zgasiła mnie uwagą, że w liceum same najwyższe oceny mają tylko dziewczęta, a u chłopców to nienormalne. Od tej pory nie spinałem się już tak na punkcie ocen i skończyłem z jedną oceną o stopień niższą od najwyższej – z geografii, gdzie zawaliłem którąś z ostatnich klasówek.

Pod koniec pierwszego półrocza pojechaliśmy całą klasą na narty. Były w niej tylko trzy dziewczęta. Dojrzewanie rozkręciło się na dobre, hormony szalały – miałem czternaście lat. Razem z jeszcze jednym kolegą, Peťem, zaczęliśmy zabiegać o tę samą koleżankę. Peťo miał więcej szczęścia i zaczęli ze sobą chodzić. Ze złości i frustracji myślałem, że pęknę. Nie mogłem nic zrobić. Przynajmniej fizycznie. Skierowałem więc całą swoją wściekłość do wewnątrz. Z ogromną siłą wyobrażałem sobie, jak głowa Peťa sama z siebie eksploduje. Nigdy nie zrobiłbym mu niczego w rzeczywistości, ale był to mój sposób na poradzenie sobie z porażką. Nie wiem, czy ta silna wizualizacja w jakikolwiek sposób mu zaszkodziła, czy nie, lecz faktem jest, że po latach urodził mu się syn z autyzmem. Było to jednak dopiero jego drugie dziecko, więc mam nadzieję, że naprawdę w żaden sposób się do tego nie przyczyniłem. Kiedyś, na spotkaniu klasowym, przypomniałem Peťowi tę historię – nie wyglądało na to, by łączył te sprawy i dostrzegał między nimi bezpośredni związek. Piszę o tym przede wszystkim po to, by moja spowiedź była pełna.

Inna sprawa związana z buzującymi hormonami i z tym, że niezbyt dobrze radziłem sobie z tą stroną dojrzewania, wydarzyła się u babci. Przez krótki czas, choć wiedziałem, że kiedyś będę się tego wstydził, miałem skłonność do pewnych niestosownych zaczepek wobec kuzynki. Wspominam o tej głupocie, bo ciąży mi na sumieniu, i traktuję te słowa jako swego rodzaju przeprosiny. Na szczęście trwało to bardzo krótko. Wtedy zacząłem chodzić z Katką – moje hormony znalazły inny, bardziej uprawniony cel – i później wszystko było już mniej więcej w porządku.

Związek z Katką trwał 10 lat – od mojego czternastego do dwudziestego czwartego roku życia. Dzięki niej przez dziesięć lat żyłem we wzorowym związku. Katka miała bardzo konserwatywne podejście do spraw związanych z relacją – nigdy się nie zdradziliśmy. Moja wewnętrzna natura jest, jak sądzę, nieco bardziej swobodna niż jej podejście do tych kwestii. Katka uważała seksualność za coś, co powinno być

zarezerwowane wyłącznie dla jednej osoby. Taki pogląd wyrasta z tradycyjnego, konserwatywnego rozumienia związków i stawia się go za wzór przede wszystkim dlatego, że ogranicza powstawanie konfliktów w społeczeństwie. „Nie cudzołóż" to przecież jedno z przykazań Dekalogu Mojżesza. Takie rzeczy jak dzieci pozamałżeńskie uznawano dotąd za stygmatyzujące konsekwencje przekroczenia zasad moralnych. To, że tak było, również wynikało z walki o ograniczone zasoby. Dziecko pozamałżeńskie albo pasierb staje się bowiem nieustannym źródłem problemów w każdym związku, od narodzin aż po śmierć małżonków – a nawet po niej, za sprawą perypetii związanych z postępowaniem spadkowym. Moim zdaniem seksualność powinna w rozsądnych granicach przede wszystkim przynosić człowiekowi radość.

Jeśli rozwiążemy problem rzeczywiście sprawiedliwego podziału zasobów w społeczeństwie, a więc przestanie istnieć odwieczny problem walki o nie, poglądy większości społeczeństwa na seksualność staną się znacznie bardziej liberalne. W nowoczesnym, rozwiniętym społeczeństwie dobrobyt będzie tak wielki, że jakikolwiek lęk o majątek i bezpieczeństwo materialne straci sens.

Tradycyjny konserwatyzm opiera się po prostu na przesłankach, które w bliskiej przyszłości będą się zmieniać, a wraz z nimi takie spojrzenie przestanie być aktualne. Myślę, że wyłączne poświęcenie czasu rodzinie w okresie wychowywania dzieci nadal będzie odgrywać ważną rolę w społeczeństwie. Kiedy jednak dzieci osiągną wczesną dorosłość i będą już rozumiały, jak funkcjonują związki, trwanie do końca życia w jednej relacji pozostanie, moim zdaniem, w sprzeczności z ludzką naturą. Zwłaszcza jeśli uwzględnimy, że dzięki postępom medycyny ludzie z dużym prawdopodobieństwem będą żyć przez nieograniczenie długi czas.

Podsumowując: jeśli para ma małe dzieci, z punktu widzenia społeczeństwa pożądane jest, by wychowywali je oboje rodzice, i dobrze byłoby, gdyby było po nich widać, że się kochają. Dziecko musi czuć, że jest owocem i ucieleśnieniem miłości dwojga ludzi, którzy, powołując je do życia, wzięli na siebie niemałe zobowiązanie. Jednak coś takiego jak przyrzeczenie składane dziś przy ślubie w kościele – „Co Bóg złączył, człowiek niech nie rozdziela" – obowiązujące aż do końca życia, jest zbyt ograniczające i nie przystaje do ludzkiej natury skłonnej do zabawy. Naturalnym następstwem przemiany światowego porządku w kierunku sprawiedliwego podziału zasobów będzie zmiana również w tej dziedzinie.

9 Pogrzeb mamy ojca

W czasach licealnych zmarła mama mojego ojca – moja druga babcia, ze strony taty. Nie byłem z nią tak blisko jak z mamą mamy. Na pogrzebie uważnie obserwowałem ojca. Wbiłem sobie do głowy, że jeśli jej śmierć bardzo go dotknęła, zrobię wszystko, aby ją odwrócić, mimo że babcia nie żyła już od kilku dni. Ojciec zauważył, że intensywnie mu się przyglądam, i właśnie wtedy uronił łzę. Więcej mi nie było trzeba. Skupiłem całą energię psychiczną na tym, by babcia się ocknęła. Tak mocno przywoływałem ją swoją świadomością z powrotem, że znów niemal zemdlałem. Musiała mnie podtrzymywać stojąca obok ciocia.

Wtedy po raz pierwszy doświadczyłem śmierci tak naprawdę, w wersji hardcore: wyglądało na to, że nie mam mocy odwrócić czegoś takiego, choćbym nie wiem jak chciał. Kilka lat później, niedługo po rozstaniu z Katką, koledzy ze studiów przyjechali odwiedzić mnie w Pradze, gdzie wtedy mieszkałem. Byliśmy w jakimś barze, do którego przyszły się zabawić trzy dziewczyny. Jedna z nich nazywała się Karolína, tak samo jak moja zmarła babcia. W ogóle nie zastanawiałem się nad jej imieniem, ale gdy

wspomniałem ojcu, że spotykam się z Karolíną, stanął jak wryty. Dotarło wtedy do mnie, że doskonale wiedział, co sobie postanowiłem na tamtym pogrzebie, i związek z potencjalną Karolíną Boškovą uznał za jakieś spełnienie tego zamiaru. Ja wcale nie zacząłem się z nią spotykać z taką intencją. Ostatecznie związek wygasł. Pozostała mi z niego nauka, że prawdopodobnie nie potrafię odwrócić takich rzeczy jak śmierć bliskiej osoby, ale podjęty w danej chwili wysiłek psychiczny może później ujawnić się w nieoczekiwany sposób i w pewnym sensie wrócić do mnie jak bumerang.

10 Pierwsze projekty programistyczne

W pierwszej klasie, gdy poznałem już podstawy Pascala, rzuciłem się na pierwszy projekt: program, w którym można było rysować myszą na płótnie, podobnie jak w Paintbrushu w Windows.

Skleciłem pierwszą wersję, zawierającą chyba wszystkie błędy, jakie może popełnić początkujący programista. Nie wiedziałem jeszcze wtedy, czym są procedury i funkcje, więc wszystko wrzuciłem do głównej pętli programu. Po prostu kompletna katastrofa. Kiedy potrzebowałem zapisywać do pliku to, co użytkownik narysował, musiałem poprosić o pomoc Árona, kolegę ze starszej klasy. Gdy zobaczył ten bałagan, dopisał mi pierwszą funkcję do zapisu i drugą do odczytu z pliku. Oddając gotowy program, rzucił: „I naucz się, jak się robi procedury i funkcje". Áron jeszcze później znacząco wpłynął na moje życie programistyczne. Razem ze zdolnymi kolegami ze swojej klasy stworzył bowiem pierwszą słowacką przygodówkę – grę komputerową, która normalnie trafiła do sprzedaży. Wokół niego powstało całe środowisko programistów, grafików i scenarzystów próbujących powtórzyć ten sukces. Ja, wspólnie z Tiborem i z pomocą innych kolegów, doprowadziłem nasz projekt do etapu, na którym mieliśmy gotowy silnik animacji w grafice SVGA, w rozdzielczości 640 × 480 i 256 kolorach. Oznaczało to, że na ekranie znajdowało się przewijane tło, a na pierwszym planie umieszczone były postacie żołnierzy i czołgi. Można było kliknąć jedne i drugie oraz wskazać miejsce, do którego mają się przemieścić. Po wydaniu polecenia postać maszerowała tam, gdzie należało. Jednocześnie mogło poruszać się ich kilka, przy czym nie wchodziły na zakazane obszary mające postać zamkniętych wielokątów. Tibor, korzystając z algorytmu Dijkstry, zaprogramował wyszukiwanie najkrótszej drogi między dowolnymi dwoma punktami tak, by postać nie wchodziła na zabroniony teren ograniczony wielokątem. W tamtym czasie nie istniała jeszcze żadna inna gotowa gra w rozdzielczości SVGA. Wynikało to z tego, że wcześniej nie było języka programowania pozwalającego przechowywać w jednej zmiennej więcej niż 64 KB danych. A to wystarczało jedynie na rozdzielczość 320 × 200 przy 256 kolorach. W Watcom C/C++, w którym wzorem Árona napisaliśmy nasz projekt, było to już możliwe.

Naszemu wielkiemu dziełu daleko było do czegoś o potencjale komercyjnym, ale bardzo pomagało mi zdobywać kolejne posady. Ilekroć komuś je pokazywałem, słyszałem reakcje w rodzaju: „Szkoda cię do nas, powinieneś dalej nad tym pracować". Do dziś przechowuję kod źródłowy gry, a kiedy przychodzi słabsza lub trudniejsza chwila, uruchamiam ją, żeby przypomnieć sobie, że sprawy nie mogą wyglądać aż tak źle, jak akurat mi się wydaje, skoro z Tiborem byliśmy tacy zdolni już w wieku czternastu lat.



11 Uniwersytet Ekonomiczny

Kiedy po liceum wybierałem studia, najważniejszą rolę odgrywało oczywiście programowanie. Były uczelnie o profilu technicznym, choćby Wydział Elektrotechniki i Informatyki (FEI) Słowackiego Uniwersytetu Technicznego, a nawet sam MatFyz. Egzaminy wstępne na MatFyz pokazały, że mój talent matematyczny nie jest aż tak wyjątkowy, bym nie męczył się na tych studiach. Bogu dzięki, nie zdałem nawet egzaminów. Później wielokrotnie spotykałem ludzi, którzy nie poradzili sobie na MatFyz i ostatecznie trafili na przykład na Uniwersytet Ekonomiczny. Za każdym razem byłem wdzięczny, że nie skończyłem podobnie i już za pierwszym razem wybrałem właściwą uczelnię. Na FEI przyjęto mnie bez egzaminów dzięki wynikom w liceum. Nie chciałem jednak tam iść, bo pierwszy rok oznaczał harówkę zakończoną wielkim sitem, przez które odpadało kilkadziesiąt procent studentów. Na mój wybór Uniwersytetu Ekonomicznego mocno wpłynął Tibor, który od początku właśnie tam się wybierał. Mnie uczelnia zaczęła się wydawać dobrym rozwiązaniem zwłaszcza wtedy, gdy usłyszałem kilka dowcipów: podobno była to „uczelnia tramwajowa", której nie kończył tylko ten, kogo w Bratislavie przejechał tramwaj. Oznaczało to, że prawdopodobnie zdołam połączyć studia z pracą, co później okazało się bardzo rozsądnym i trafnym założeniem.

W uzyskaniu bardzo dobrego wyniku na egzaminach wstępnych pomógł mi kolega, który zdawał je tego samego dnia i siedział w ławce przede mną. Udało mi się odpisać od niego trzy ostatnie zadania z matematyki, których nie zdążyłem rozwiązać w wyznaczonym czasie. Wtedy po raz pierwszy poważniej uświadomiłem sobie, że ważniejsze od posiadania określonych umiejętności są dobre relacje z ludźmi, którzy je mają. A potem wykorzystanie efektów sieciowych takich znajomości. Dostałbym się na studia również bez tego drobnego oszustwa, ale nie znalazłbym się tak wysoko na liście wyników, a później nie przydzielono by mnie w akademiku do pokoju z tymi współlokatorami, z którymi ostatecznie zamieszkałem.

Już w pierwszych tygodniach studiów zacząłem rozglądać się za pracą. Internet na Słowacji był wtedy właściwie w powijakach, ale dzięki adresowi e-mail przydzielonemu mi przez uczelnię i dostępowi do sieci w salach komputerowych szybko umówiłem się na rozmowę z pewnym człowiekiem z banku Slovenská sporiteľňa. Kiedy przyszedłem do oddziału banku i trafiłem do jego biura, wszystko poszło wyjątkowo gładko. Wystarczyło pokazać mu mój projekt z poruszającymi się żołnierzami i czołgiem, by sprawa stała się jasna. Od razu zabrał mnie do siedziby firmy Asset, która dostarczała wówczas bankowi Slovenská sporiteľňa system informatyczny. Zaprowadził mnie do szefa projektu Papiery Wartościowe, Jula Petrenki. Julo był trochę młodszy od mojego ojca i od razu przypadliśmy sobie do gustu. Gdy weszliśmy do jego gabinetu, trzymał nogi na biurku, całym zaśmieconym łupinami pestek dyni, które bez najmniejszego skrępowania bez przerwy łuskał podczas rozmowy. Człowiek z banku wspomniał o moim projekcie z żołnierzykami i skończyło się na tym, że przybiliśmy piątkę. Dostałem około siedmiusetstronicowy podręcznik systemu baz danych Oracle i miałem wrócić za tydzień, po zapoznaniu się z nim. Julo zaczął nazywać mnie młodym człowiekiem, a ja jego Júliusem. Podejrzewałem, że niezbyt mu się to podoba, ale nie miał wyboru; po tym, co zobaczyłem na rozmowie, jakoś po prostu do niego pasowało.

Pierwszy semestr na uniwersytecie upłynął mi na sprawdzaniu, na ile naprawdę trzeba chodzić na wykłady. Niektórzy prowadzący tego wymagali, u innych wystarczyło pojawiać się w miarę przygotowanym na obowiązkowych ćwiczeniach. Praca w firmie dostarczającej system informatyczny największemu słowackiemu bankowi okazała się ogromną przewagą. Na zaliczenie informatyki należało przygotować prosty projekt bazodanowy, pokazujący podstawy normalizacji i projektowania baz danych. Mój był gotowy w jakieś półtorej godziny i nosił tytuł „Zarządzanie portfelem papierów wartościowych". Starannie rozrysowałem tabele: portfeli, rodzajów papierów wartościowych, relacje M : N między klientem, portfelem i wykazami posiadanych papierów. Gdy oddawałem projekt, wszyscy tylko patrzyli. Prowadzący ćwiczenia zapytał: „A wie pan w ogóle, co to jest portfel?". Odpowiedziałem, że pracuję w firmie tworzącej system informatyczny dla banku Slovenská sporiteľňa. Przy projekcie Papiery Wartościowe. Przez chwilę siedział z otwartymi ustami – w końcu student pierwszego roku, który zdążył znaleźć takie zatrudnienie i łączył studia z podobną pracą, nie był chyba codziennym widokiem.

Pierwsza sesja egzaminacyjna również była próbą tego, na co mogę sobie pozwolić. Chciałem ograniczyć naukę do minimum, dostać przynajmniej trójkę i poświęcać jak najwięcej czasu pracy. Julo mnie podpuszczał: twierdził, że jego znajomi studiujący na ekonomicznym przeznaczają na przygotowanie do egzaminu najwyżej trzy dni. Odpowiadałem, że to moja pierwsza sesja i nie chciałbym jej zlekceważyć. Pierwszy egzamin, zaraz po Bożym Narodzeniu, obejmował kluczowy przedmiot: Ogólną Teorię Ekonomiczną, VET. Budził postrach wśród wszystkich studentów pierwszego roku. Na szczęście trafiłem na wykładowczynię, która była chyba najlepszym możliwym wyborem: trzeba było umieć, ale jeśli się to udowodniło, nie wychodziło się bez przynajmniej trójki. Po świętach przyjechałem do akademika przygotowany i w dobrym humorze, a wieczorem przed egzaminem byłem pewien zwycięstwa. I rzeczywiście. Dostałem najwyższą ocenę. Co prawda wylosowałem chyba najłatwiejsze możliwe pytanie: związek między popytem, podażą i ceną na wolnym rynku. Egzaminatorka zauważyła, że już na początek trafiło mi się tak łatwe pytanie. Powiedziałem więc, że w takim razie wylosuję jeszcze raz. Roześmiała się i odparła, że szczęście sprzyja przygotowanym i żebym zostawił, jak jest.

Drugi egzamin nie był już takim spacerkiem. Był to Wstęp do Prawa. Prowadziła go dość kapryśna wykładowczyni, która potrafiła dać trójkę nawet za mgliste przypomnienie sobie czegoś z wylosowanego zagadnienia, ale najważniejsze było nie pokazać, że trzęsie się portkami. Przy pierwszym podejściu nie zdążyłem jej jeszcze rozgryźć, więc nie dostałem nawet tej trójki. W miarę jak sesja postępowała, a ja miałem za sobą coraz więcej zdanych egzaminów, rozmawiałem o prawie z kolegami. Słyszałem historie o tym, jak dzień przed egzaminem przeczytali skrypt i bez problemu dostali trójki. Zastanawiałem się, na czym polega sztuczka, aż podczas rozmowy z jednym z nich wreszcie zrozumiałem. Opowiadał, jak rozmawiał z nią o swojej pracy. Po prostu zobaczyła w nim równego sobie człowieka. Dzięki tej rozmowie niejako wyszedł z roli studenta proszącego o ocenę i dał jej odczuć, że w rzeczywistości są sobie równi. Z tą nauką poszedłem na egzamin ponownie. Powiedziałem wszystko, co wiedziałem o wylosowanym zagadnieniu, ale uważałem, by nawet najdrobniejszym gestem nie zdradzić, jak bardzo drżę o zaliczenie. Udawałem, że jest mi mniej więcej wszystko jedno, i ostatecznie zadziałało. Była to jedna z ocen, które zdobyłem bardziej dzięki psychologicznej analizie egzaminatora niż wiedzy. Opanowanie całego materiału z liczącego około czterystu stron skryptu do prawa było dla mnie dość trudnym zadaniem, bo nawet jego czytanie mnie nie interesowało. A co dopiero nauka. Później było więcej egzaminów, w których

rozgryzienie egzaminatora odgrywało istotną rolę, ale to był pierwszy potencjalnie dość poważny problem na pierwszym roku i wiele mnie na przyszłość nauczył.

Pierwsze studenckie lato spędziliśmy z Katką w akademiku niedaleko mojej pracy. Stopniowo zacząłem zarabiać więcej niż moi rodzice razem wzięci. Dużo zyskałem również dzięki założeniu działalności gospodarczej i optymalizacji podatków oraz składek. Zamiast około 50% podatków i składek, jakie wiązały się wtedy ze standardowym zatrudnieniem na etacie, płaciłem znacznie mniej – może około 25%. Zostawało mi więc dużo więcej pieniędzy na rękę i do końca studiów odłożyłem wystarczająco dużo, by kupić za gotówkę pierwsze trzypokojowe mieszkanie w Nitrze. Mam je do dziś i stanowi istotną część mojego majątku, ponieważ od zakupu w 2002 roku do dziś, czyli do 2025 roku, jego wartość wzrosła ponad sześciokrotnie.

Pracując w Asset, przeżyłem coś, co pokazało mi, jak należy traktować pracowników i jak pozornie nierozwiązywalną sytuację obrócić na korzyść całego zespołu. Pracowaliśmy nad projektem produktu bankowego, który miał pozwalać klientom gromadzić oszczędności w papierach wartościowych w portfelu, a jednocześnie lokować nadwyżki środków, akurat nieulokowane w papierach, na lokatach terminowych o oprocentowaniu korzystniejszym od standardowego. Było to chyba w okresie wyborów, gdy żaden z pracowników banku nie miał odwagi podpisać firmie Asset odbioru projektu, bo wszyscy czekali na wyniki. Po stronie klienta kontaktował się z nami młody człowiek, prawdopodobnie niewiele starszy ode mnie. Oficjalnie uzasadniono odmowę odbioru brakiem czasu na testy. A ja, naiwny i nieświadomy szerszych uwarunkowań politycznych, umówiłem się z tym młodym urzędnikiem bankowym na obiad, zamierzając zaproponować pomoc przy testowaniu – co miało ułatwić formalny odbiór projektu. Przy obiedzie wyjaśnił mi, jak naprawdę wygląda sytuacja. Kiedy Julo dowiedział się o naszym spotkaniu, zrobiło się tyle zamieszania, że nie mogłem wyjść ze zdumienia. Nie pamiętam już dokładnych szczegółów, ale Julo zabrał mnie wtedy na obiad z właścicielem Asset, Chrenkiem. Chrenko przez pewien czas należał bądź nadal należy, według „Forbesa", do najbogatszych Słowaków. Sądząc po tym, co wydarzyło się później, Julo wyraźnie otrzymał od niego polecenie, że projekt trzeba przekazać za wszelką cenę. Nie wiem dokładnie, co działo się lub nie działo za kulisami, ale zszokowało mnie, że niepozorny student, który jak naiwny idiota w coś wetknie nos, może wywołać takie trzęsienie ziemi. Przez kolejne tygodnie Julo miał głowę pełną zmartwień związanych z projektem. Ostatecznie, po różnych perypetiach, udało się go jednak pomyślnie przekazać. Za kulisami musiało wydarzyć się coś, o czym do mnie nie dotarła wieść – inaczej nie potrafię tego wyjaśnić. Możliwe jednak, że bez mojej naiwnej próby rozwiązania problemu cała ta lawina zdarzeń w ogóle by nie ruszyła. Wyniosłem z tego lekcję, że nawet najmniej znaczący człowiek w projekcie może zdziałać cuda. Od tej pory nie lekceważę żadnego członka swojego zespołu, bo ci, którzy pozornie stoją na słabszej pozycji, mogą ostatecznie zdecydować o sprawach najważniejszych. Często ludzie pozornie mniej istotni dla projektu w rzeczywistości angażują w jego powodzenie swój umysł w takim sensie, że znacznie silniej panują nad elementami rzeczywistości związanymi z jego sukcesem.

Drugie studenckie lato spędziłem w akademiku Uniwersytetu Ekonomicznego w Horskim parku, tam, gdzie mieszkałem również w roku akademickim. W pracy pojawiła się nowa koleżanka, Ľudmila, także absolwentka tej uczelni. Była całkiem zdolna, ale najbardziej zaskakiwały mnie u niej zainteresowania

wykraczające w dziedziny, do których sam pewnie tak łatwo bym nie trafił. Miała pewnego bzika na punkcie mroczniejszej muzyki gotyckiej, lubiła ubierać się na czarno, lecz potrafiła też bez skrępowania założyć jaskrawoniebieską perukę i tak przyjść do pracy. Ľudmila zwróciła moją uwagę na twórczość niejakiego Františka Bardona, który lubił, gdy nazywano go białym magiem, i napisał kilka książek mających być czymś w rodzaju praktycznych poradników, jak zostać prawdziwym magiem. Podobno najpierw więzili go naziści w Niemczech, a później komuniści na Słowacji. Z ciekawości przeczytałem niektóre z jego książek. Część zawartych w nich rzeczy była całkiem inspirująca – zwłaszcza opisy działania pewnych zjawisk. Gdy jednak próbowałem wykonywać zalecane ćwiczenia, na przykład skupić się na pilnowaniu własnych myśli i niemyśleniu o niczym, szybko odkryłem, że takie eksperymenty przynoszą więcej szkody niż pożytku. Po kilku próbach niemyślenia o niczym zauważyłem bowiem, że trudniej mi skoncentrować się na pracy – a to była dla mnie czerwona linia, której nie zamierzałem przekraczać. Wśród innych zaleceń znajdowało się choćby wykonanie własnego amuletu: należało wybrać ulubiony przedmiot i na noc odkładać go w trudno dostępnym miejscu, na przykład wysoko na szafie. Każdej nocy trzeba było zmusić się do wstania i dotknięcia tego przedmiotu. Miała się w nim gromadzić energia zużywana na wstawanie w środku nocy, dzięki czemu stawałby się on osobistym amuletem naładowanym pozytywną energią. Nigdy tego nie próbowałem, ale na podstawie opisu wydało mi się całkiem prawdopodobne, że człowiek rzeczywiście mógł w ten sposób stworzyć przedmiot naładowany pozytywną energią.
Z pewnością mógł przynajmniej tak uważać, a to mogło wystarczyć, by przedmiot te właściwości zyskał. Całkowicie odwróciłem się od Bardona, kiedy na jakimś forum internetowym znalazłem wyznanie człowieka, który stosował się do jego wskazówek i przyznał, że w białej magii nie osiągnął absolutnie niczego. Wykonywanie tych ćwiczeń zacząłem uważać za stratę czasu. Niedawno widziałem takie zestawienie: mapa świata, jak wyobrażali go sobie ludzie w starożytności i antyku – pośrodku Morze Śródziemne, wokół coś odlegle przypominającego znane nam dziś kraje – a obok współczesna mapa. Jakby małe dziecko próbowało z pamięci narysować to, co zobaczyło na prawdziwej mapie. Właśnie tak jawiły mi się ustalenia Bardona dotyczące działania świata w porównaniu z nowoczesną nauką. Magią współczesnego społeczeństwa jest nauka, która stopniowo uszczegóławia i uściśla naszą mapę poznania. Mimo wszystko przeczytanie, jak pewien człowiek widział działanie przyrody zaledwie niecałe sto lat temu, było inspirującym eksperymentem.

12 Lato w Ameryce

Lata 2000 nie spędziłem jak zwykle w pracy. Razem z Katką załatwiliśmy sobie za pośrednictwem programu Work & Travel wakacyjny wyjazd do pracy w Ameryce. Pracowaliśmy wspólnie w ekipie sprzątającej park wodny Noah's Ark w Wisconsin Dells, turystycznym miasteczku niedaleko Madison, stolicy stanu Wisconsin.

Poznanie Ameryki z perspektywy sezonowego pracownika parku było przeżyciem na całe życie. Zanim naprawdę tam pojechałem, sądziłem, że kiedyś się tam przeniosę i w pełni rozwinę swoją karierę, bo właśnie tam są ku temu najlepsze warunki. Po tamtym lecie wiedziałem jednak, że pozostanie w Europie będzie dla mnie znacznie wygodniejsze. Nie podobało mi się już coś tak podstawowego jak układ ulic. Wszystko wydawało mi się zbyt szerokie i otwarte. Żadnego centrum miasta z wąskimi, przytulnymi uliczkami, jak w Europie. Nie czułem się tam dobrze. Spokoju nie dodawała też Katka, która po raz pierwszy w życiu na dłużej wyjechała od rodziny i bardzo źle to znosiła. Już na początku pobytu, po kłótni o to, czy mamy natychmiast zawrócić na pięcie i jechać do domu, na jakiś czas mi zniknęła. Jeździłem rowerem po całym Wisconsin Dells jak szalony, wyobrażając sobie, co powiedzą jej rodzice, gdy oznajmię im, że po prostu zaginęła mi gdzieś w środku Ameryki. Stres jak cholera. Przez chwilę naprawdę myślałem, że ktoś ją porwał albo coś w tym rodzaju. W końcu znalazłem ją spokojnie bujającą się na huśtawce niedaleko domu, w którym przydzielono nam nocleg.

Tego dnia jednak w mojej emocjonalnej karmie powstał najgłębszy ślad w dotychczasowym życiu. Przez chwilę naprawdę wierzyłem, że wydarzyło się coś bardzo złego. Później coś podobnego przydarzyło się Katce, kiedy byliśmy już po rozstaniu, a ona pracowała jako au pair w Londynie. Przez pewien czas w takim samym stresie szukała po mieście powierzonych jej dzieci.



Podczas pracy w parku wodnym Noah's Ark w Wisconsin Dells



Z Katką w dniu wolnym od pracy w Wisconsin

13 Pierwsze zetknięcie z ideą projektu Viditeľné peniaze – twórczość Neale'a Donalda Walscha

Gdzieś na przełomie tysiącleci przeczytałem serię książek amerykańskiego pisarza Neale'a Donalda Walscha – Rozmowy z Bogiem, tomy 1–3. To dzieło wyjątkowe: autor omawia w nim praktycznie każdą dziedzinę ludzkiego życia. Niektóre, w istocie ontologiczne opisy mechanizmów rządzących relacją między człowiekiem a Bogiem uważam za najdonioślejsze i najbardziej dopracowane rozważania na ten temat, jakie kiedykolwiek czytałem. Ten człowiek jest geniuszem religijnym. Już na początku pierwszej książki omawia podstawowe zasady ontologiczne, do których sam dochodziłem we własnych przemyśleniach, lecz nigdzie indziej nie znalazłem ich zebranych w jednym miejscu i tak jasno sformułowanych.

Zdeklarowany ateista prawdopodobnie nie doceni w pełni jego dzieła, ponieważ język tych książek nie operuje konkretnymi pojęciami, często za to posługuje się takimi kategoriami jak byt, któremu na dodatek przypisuje ludzkie właściwości: byt chciał poznać samego siebie i tak dalej. Mnie jednak podczas lektury wszystko idealnie ułożyło się w całość. Już na początku Walsch omawia na przykład rzecz tak prostą, a zarazem pożyteczną, jak to, w jaki sposób należy się modlić. Właściwa modlitwa polega na tym, że człowiek w swoim wnętrzu dziękuje Bogu za to, co już go spotkało. Wyrażając wdzięczność za coś, co się wydarzyło, w istocie urzeczywistnia sens życia. Uznaje bowiem to, co istnieje, w takiej postaci, w jakiej się wydarzyło – potwierdza, że to, co się działo, było dobre. I właśnie to jest właściwa muzyka dla Bożych i ludzkich uszu. Kiedy ktoś w modlitwie stawia jakiś warunek – na przykład: chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj – w istocie mówi, że może dojść również do sytuacji, w której z jakiegoś powodu tego chleba nie otrzymamy. To tak, jakby własne dziecko codziennie przypominało Państwu, że musi jeść. Przecież nie trzeba tego mówić wprost – każdy odpowiedzialny rodzic dobrze o tym wie. Modlitwa Ojcze nasz wydaje mi się raczej czymś stworzonym przez ludzi, którzy z ludzkiej perspektywy próbowali jakoś ująć relację z Bogiem. Jest w niej więcej kwestii dyskusyjnych – choćby to, że Bóg przecież nie przebywa wyłącznie w niebie.

Drugi z trzech tomów porusza także kwestię lepszego ustroju społecznego. Chyba najlepiej będzie przytoczyć fragment książki:

„To nie propozycja, lecz wezwanie. Wzywam was, abyście odrzucili wszystkie pieniądze, wszystkie banknoty i monety, wszystkie waluty narodowe i zaczęli zupełnie od początku. Wprowadźcie międzynarodowy system pieniężny, który będzie całkowicie otwarty, możliwy do skontrolowania i przejrzysty. Wprowadźcie ogólnoświatowy system rozliczeniowy, który będzie przyznawał kredyty za wykonane usługi, a debety za usługi, z których skorzystano, i zużyte towary. Wszystko byłoby ewidencjonowane. Zyski z inwestycji, spadki, wygrane na loterii, pensje i wynagrodzenia, napiwki – po prostu wszystko. Bez kredytów nie dałoby się niczego kupić. Nie istniałaby żadna inna waluta. Wszystkie zapisy finansowe byłyby dostępne dla każdego. Mówi się, że człowieka można poznać po jego koncie bankowym. Ten system zbliża się do takiej możliwości. Ludzie wiedzieliby o sobie o wiele więcej niż dzisiaj. Nie tylko więcej wiedzielibyście o sobie nawzajem, ale też więcej wiedzielibyście o wszystkim. Wiedzielibyście, ile płacą i wydają korporacje – jakie są ich ceny produkcji i sprzedaży. (Potrafisz sobie wyobrazić, co robiłyby te korporacje, gdyby na wszystkich towarach musiały podawać dwie ceny?

Obniżyłoby to ceny czy nie? Ożywiłoby konkurencję i wzmocniło uczciwy handel? Nie jesteś sobie nawet w stanie wyobrazić skutków działania tego systemu). Przelewy między kontami byłyby natychmiastowe, w pełni widoczne i przejrzyste. Oznacza to, że każdy mógłby w dowolnej chwili zajrzeć do zapisów finansowych dowolnej osoby lub korporacji. Nic nie byłoby tajne. CKS potrącałby dziesięć procent wszystkich zarobków i zysków osobom, które dobrowolnie poprosiłyby o takie potrącenie. Nie byłoby podatków, których można by unikać. Ponieważ wszystkie zapisy byłyby jawne, każdy wiedziałby, kto oddaje dziesięć procent swoich zysków na rzecz całego społeczeństwa. Z tych dobrowolnych wpłat finansowano by wszystkie programy państwowe i społeczne. Cały system byłby bardzo prosty i przejrzysty". Nikt by się na to nie zgodził. „Oczywiście, że nie. A wiesz dlaczego? Ponieważ taki system uniemożliwiłby każdemu robienie czegokolwiek, o czym nie chciałby, żeby dowiedzieli się inni. Ale dlaczego mielibyście chcieć robić takie rzeczy? Powiem ci dlaczego. Ponieważ żyjecie w społeczeństwie opartym na przekonaniu, że to zupełnie naturalne, iż «przetrwają tylko najsilniejsi». Gdyby głównym celem waszego społeczeństwa było godne życie wszystkich ludzi (tak jak we wszystkich prawdziwie oświeconych społeczeństwach), zniknęłaby potrzeba tajemnic i pokątnych praktyk. Czy zdajesz sobie sprawę, ile korupcji wyeliminowałby taki system? Tajemnica jego powodzenia tkwi w widoczności i przejrzystości". Wspaniała myśl. Całkowita przejrzystość w sprawach finansowych. Próbuję znaleźć jakiś powód, dla którego miałoby to być „złe", ale nic nie przychodzi mi do głowy. „Oczywiście, że nie, bo nie masz nic do ukrycia. Ale potrafisz sobie wyobrazić, jaki wrzask podnieśliby bogaci i możni tego świata, gdyby wiedzieli, że każdy zakup i każda sprzedaż, każda decyzja biznesowa i umowa – że wszystko jest dostępne dla każdego, kto się tym zainteresuje? Powiem ci jedno: nic nie prowadzi do uczciwości szybciej niż przejrzystość i widoczność. Widoczność to inne określenie prawdy. Poznaj prawdę, a prawda cię wyzwoli. Rządy, międzynarodowe korporacje i możni tego świata doskonale zdają sobie z tego sprawę, dlatego nigdy nie dopuszczą, aby jakikolwiek system polityczny, społeczny czy gospodarczy opierał się na prawdzie. W oświeconych społeczeństwach nie ma tajemnic. Wszyscy wiedzą, co inni posiadają, ile zarabiają i jakie płacą podatki; wszyscy wiedzą, co kupuje i sprzedaje każda korporacja i jakie osiąga zyski. Wszyscy wiedzą WSZYSTKO. Wiesz, dlaczego jest to możliwe tylko w oświeconych społeczeństwach? Ponieważ w oświeconym społeczeństwie nikt nie chce niczego kosztem innych". To radykalny sposób życia. „Wydaje się radykalny tylko ludziom w społeczeństwach prymitywnych. W oświeconych społeczeństwach jest zupełnie normalny". Fascynuje mnie idea „widoczności" i „przejrzystości". Myślisz, że można by ją stosować także w innych dziedzinach naszego życia? Czy mogłaby się stać główną zasadą postępowania w naszych relacjach osobistych? „Mam nadzieję, że tak". A na razie tak nie jest. „Z reguły nie. Nie na waszej planecie. Większość ludzi wciąż ma coś do ukrycia". Dlaczego? „W relacjach osobistych, a właściwie we wszystkich relacjach, ludzie boją się, że coś stracą albo czegoś nie dostaną. A przecież najlepsze relacje osobiste, a z pewnością najlepsze związki miłosne, to te, w których partnerzy wiedzą o sobie wszystko. W takich związkach nie ma tajemnic ani niepewności, nic nie pozostaje niedopowiedziane, niczego się nie ukrywa. Nikt nie próbuje «przechytrzyć» drugiej osoby". Gdyby jednak każdy wiedział wszystko, co myślimy... „Poczekaj. Nie mówimy o braku prywatności ani o niemożności rozwoju duchowego. Zdecydowanie nie o tym mówię. Mówimy o uczciwości i otwartości w kontaktach z ludźmi. O tym, że zawsze powinniście mówić prawdę i nie przemilczać jej, kiedy wiecie, że trzeba ją wypowiedzieć. Mówię o tym, że nigdy nie powinniście kłamać ani przeinaczać prawdy. Mówimy

o tym, że wszyscy ludzie powinni mieć wszystkie potrzebne informacje. Mówię o uczciwości i szczerości. Nie oznacza to jednak, że mielibyście publicznie opowiadać o swoich prywatnych sprawach. O każdej myśli, każdej opinii, każdym wspomnieniu, każdym pomyśle i każdej reakcji. To byłoby szaleństwo, a nie otwartość. Mówimy tu o szczerej i otwartej komunikacji. Ale wygląda na to, że jest to myśl zaskakująca". Możesz powtórzyć? „Wygląda na to, że jest to myśl zaskakująca". Powinieneś występować w kabarecie. „Przecież występuję". Porozmawiajmy poważnie, to naprawdę znakomita myśl. Wyobraź sobie społeczeństwo oparte na zasadzie widoczności. Myślisz, że to by działało? „Coś ci powiem. Do jutra zniknęłaby połowa społecznych bolączek. Połowa wszystkich trosk, konfliktów, złości, frustracji... Oczywiście na początku ludzie byliby niezadowoleni i rozgniewani, gdyby wreszcie dowiedzieli się, jak ich oszukiwano i wykorzystywano. Ale w ciągu dwóch miesięcy cała złość by im przeszła. Zastanów się nad tym. Myślisz, że mógłbyś tak żyć? Żadnych tajemnic. Całkowita przejrzystość. Doskonała widoczność. A jeśli nie mógłbyś tak żyć, to dlaczego? Co ukrywasz przed ludźmi? Jakie nieprawdziwe rzeczy im mówisz? Czy kłamstwa doprowadziły wasz świat do stanu, w jakim chcielibyście go widzieć? Czy manipulowanie rynkiem, sytuacjami i poszczególnymi ludźmi przyniosło wam jakikolwiek pożytek? Czy «prywatność» naprawdę jest warunkiem życia społecznego i indywidualnego? Co by się stało, gdyby każdy mógł zobaczyć wszystko? Jest w tym pewna ironia. Czy nie rozumiesz, że właśnie dlatego bałeś się pierwszego spotkania z Bogiem? Czy nie rozumiesz, że obawiałeś się końca wszelkiego udawania? Ale nie masz się czego bać. Nikt nie będzie cię sądził, nikt nie strąci cię w wieczne płomienie piekła".

Kiedy po raz pierwszy przeczytałem ten fragment, od razu zrozumiałem, że taka przemiana społeczeństwa jest warta tego, by stać się sensem mojego życia. Wiedziałem, z jakim oporem spotka się ta idea. Wiedziałem też, że dzięki informatyce trzymam w rękach klucz, który pozwala zacząć wprowadzać taką zmianę. Lektura książek Walscha odmieniła moje życie raz na zawsze. Niedługo później pojawił się pierwszy projekt, który miał wyjątkowo wiele wspólnego z finansami publicznymi i zarządzaniem nimi – projekt Kasy Państwowej Republiki Słowackiej.

14 Praca dla QBSW – projekt kasy państwowej

Po powrocie z Ameryki przez jakiś czas próbowałem jeszcze załatwić sobie staż zawodowy w USA. Tiborowi udało się w tym roku dostać staż w pewnej firmie informatycznej w Miami. Z Katką wróciliśmy na Słowację na początku września, a w połowie miesiąca poleciałem do Tibora do Miami, żeby znaleźć podobny staż. Po przepychankach z urzędniczką imigracyjną z powodu wizy, której ważność upływała za miesiąc, w końcu wpuszczono mnie do kraju. Stażu nie znalazłem, ale i tak nic by z tego nie wyszło, bo później dowiedziałem się, że nie można było łączyć następujących po sobie wiz pracowniczych z programu Work And Travel i programu stażowego. Zresztą niespecjalnie mnie to martwiło, ponieważ już podczas pobytu w Ameryce zrozumiałem, że to nie miejsce dla mnie.

Po powrocie na Słowację znów zacząłem pracować w Assecie, tym razem jednak przy nowym projekcie o nazwie Dealing. Był to element bankowego systemu informatycznego, za pomocą którego dealerzy banku handlowali na giełdach. Projekt był ściśle powiązany z projektem Papierów Wartościowych, lecz koncentrował się bardziej na transakcjach międzybankowych zawieranych przez dealerów poszczególnych banków. Poznałem przy nim kilku rówieśników, którzy studiowali na FEI. Ponownie mogłem zobaczyć na własne oczy, jak skomplikowane bywa łączenie dość trudnych studiów z pracą. Niektórzy z nich ostatecznie wylecieli z FEI i trafili na Uniwersytet Ekonomiczny. Wkrótce ci nowi koledzy zaproponowali mi pracę. Jeden z menedżerów Assetu odszedł do ministerstwa finansów, aby przygotowywać tam dokumentację do przetargu na system kasy państwowej, który ministerstwo zamierzało ogłosić w niedalekiej przyszłości. Ten pracownik – będę go nazywał Michal Suchota – stał się później dość znany na Słowacji: jego nazwisko pojawiało się w kilku głośnych aferach korupcyjnych. Suchota był dość niezwykłą postacią. Starszy ode mnie zaledwie o jakieś cztery czy pięć lat, w Assecie miał opinię menedżera może nawet bezwzględnego, który zawsze dopina swego. Gdy tylko wchodził do pokoju, jego podwładni siedzieli jak na szpilkach. Julo powiedział mi kiedyś o nim coś w tym rodzaju, że wykorzystują go jako silną, skuteczną broń przeciw problemom, które trudno rozwiązać.

Choć od początku było jasne, że cała nowa firma cuchnie korupcją, po tym, co działo się na Słowacji w latach dziewięćdziesiątych – kiedy wysadzano samochody przedsiębiorców i porwano syna prezydenta – wydawało mi się to w porównaniu z zabijaniem ludzi niewinną potyczką, która nieuchronnie musiała się rozegrać tam, gdzie dzielono większe pieniądze. Dziś, gdy takie sprawy budzą o wiele większą wrażliwość, a poprzeczka moralna zawieszona jest znacznie wyżej, zachowałbym się inaczej. Musiałem jednak przejść pewną drogę, by dojść do obecnego sposobu patrzenia na świat. Dziś wiem, że integralność moralna jest wartością nie do przecenienia. Sądzę jednak, że nie można jednoznacznie potępiać decyzji dwudziestoletniego, stosunkowo niedoświadczonego studenta, który dzień w dzień słyszy, jak zdemoralizowane jest całe społeczeństwo, jak prywatyzuje się na potęgę i jak każdy w wyścigu szczurów myśli przede wszystkim o sobie. Zresztą gdzieś w tym okresie narodził się również pomysł projektu przejrzystego pieniądza. Praca nad kasą państwową była pod pewnym względem bliska moim planom reformy społeczeństwa.

To, że sposób działania QBSW nie jest całkiem w porządku, dotarło do mnie z całą mocą 11.09.2001. Tego dnia jakimiś kanałami dotarła do QBSW wiadomość, że najprawdopodobniej to my będziemy realizować zlecenie Kasy Państwowej. Kilka minut później oglądaliśmy w telewizji, jak walą się

bliźniacze wieże. Odebrałem to jako znak od wszechświata, że jeśli dalej będę tak postępował, nastąpi upadek całego wszechświata. Wtedy ostatecznie zaczęła we mnie dojrzewać decyzja, by stopniowo wycofać się z QBSW.

Zdążyłem jeszcze w QBSW zrealizować pod kierownictwem Suchoty projekt, na którym oparłem także pracę magisterską. Dotyczyła ona stworzenia systemu informatycznego dla firmy świadczącej usługi leasingu operacyjnego samochodów. Projekt zdobył Suchota, ale realizowało go QBSW, a ja byłem łącznikiem między programistami QBSW a klientem. Klient prawdopodobnie nigdy się nie dowiedział, że system w rzeczywistości opracowała jakaś firma QBSW. Znał tylko mnie i naszego administratora baz danych, który instalował mu system. Sam miałem też niemały, bezpośredni udział w pozyskaniu tego zlecenia: pewnego popołudnia zaprezentowałem dyrektorowi firmy leasingowej swój piękny diagram przedstawiający komunikację naszego systemu z otoczeniem firmy. Był to majstersztyk i miałem poczucie, że znacząco przyczynił się do tego, iż ostatecznie to my dostarczyliśmy rozwiązanie. Cały system powstawał w QBSW może nieco ponad pół roku. Cena ledwie wystarczała na pokrycie kosztów pracy programistów, lecz zlecenie miało dla QBSW kluczowe znaczenie: jeszcze przed projektem Kasy Państwowej pozwoliło przy rzeczywistym zadaniu uformować zespoły programistyczne i dopracować wewnętrzny framework, w którym pracowaliśmy. Magisterkę skleciłem w kilka dni – wystarczyło wziąć parę diagramów projektowych i zrzutów ekranów, opisać je i sprawa była załatwiona.

15 Rozmowa z Hildą

Poniższa rozmowa odbyła się między mną a współwłaścicielką Med-artu podczas świniobicia zorganizowanego przez mojego ojca. Pamiętam ją tylko w ogólnych zarysach; niektóre zdania mogły zabrzmieć inaczej albo nie paść wcale. Mimo to zamieszczam ją w tej postaci, ponieważ ktoś może wynieść z niej coś dla siebie.

„A jakie studia pani skończyła?" – zapytałem, płucząc jelita. „Psychologię" – odpowiedziała. „Psychologia wydaje mi się bardzo interesująca" – ciągnąłem. „Sięga przecież najważniejszych pytań dotyczących samego istnienia. Ludzka psychika jest nierozerwalnie związana z postrzeganiem jako takim. Zastanawiała się pani kiedyś, jaki mechanizm sprawia, że z bytu będącego wszystkim, co istnieje, może powstać coś, co jest mniej niż wszystkim? I w jakiś sposób jest oddzielone od reszty?" Hilda z niedowierzaniem uniosła brwi. Chyba nie spodziewała się, że przy przygotowaniach do świniobicia przyjdzie jej rozmawiać o takich rzeczach. Mnie jednak tylko to zachęciło. „Proszę sobie wyobrazić, że jest pani wszystkim, co istnieje. Poza panią nie ma nic. Nie istnieje żadna zewnętrzna przestrzeń, do której mogłaby się pani odnieść. Jak taki byt może sam sobie zapewnić rozrywkę? To, że przypisuję bytowi pragnienie rozrywki podobne do ludzkiej potrzeby, nie jest przypadkowe. W Biblii w kilku miejscach napisano, że człowiek został stworzony na obraz Boga. Trafniej byłoby więc powiedzieć, że człowiek ma podobne potrzeby jak byt jako taki. Jak zatem może zapewnić sobie rozrywkę coś, co jest wszystkim? Logicznie rzecz biorąc, musi podzielić się na mniejsze części i jakby na chwilę zapomnieć, czym naprawdę jest. A potem, w tej zabawie w chowanego, stopniowo mierzyć się z tym, co wydaje się nieznane i obce. Wydaje się takie jednak tylko dlatego, że część bytu zapomniała, jaką całość wcześniej tworzyła. Ponownemu odkryciu towarzyszy ulga, a jej odczuwanie nadaje wszystkiemu sens".

„Uważam, że studiowanie takiej nauki jak psychologia powinno być w istocie znacznie silniej powiązane choćby z ontologią – nauką o bycie. Należałoby studiować je razem, właśnie dlatego, że świadome jednostki bytu mają na wszystkich poziomach podobne właściwości i potrzeby. Badając ludzką psychikę, można wiele wywnioskować o samym bycie. Moim zdaniem błędem jest badanie zewnętrznego świata po to, by za pomocą odkrytych w nim praw próbować wyjaśniać nasze wnętrze. To nigdy się nie sprawdzi. Za punkt wyjścia należałoby przyjąć ludzką świadomość. To, że przyroda poza nami w tych samych warunkach pozornie zawsze zachowuje się tak samo, jest mniej więcej przypadkiem, a nie żelazną zasadą, na podstawie której powinno się ustalać, co będzie się działo w każdych okolicznościach".

„Proszę wziąć pod uwagę to, co wydarzyło się stosunkowo niedawno – zawalenie się bliźniaczych wież w Nowym Jorku. Wszyscy zwolennicy teorii spiskowych na świecie aż zawrzeli: ewidentny spisek, wcześniej zaminowany budynek, który ktoś wysadził w powietrze. Aby taki spisek się powiódł, trzeba by zapanować nad przedsięwzięciem o gigantycznym stopniu złożoności. Jak niezauważenie zaminować cały budynek? Jak zagwarantować, że żadna z dziesiątek osób, które musiałyby się tym zająć, nigdzie ani słowem się nie wygada? To po prostu statystycznie niemożliwe. Powiem pani, czym bliźniacze wieże różniły się wtedy od zwykłego budynku. W tamtej chwili za pośrednictwem telewizji patrzyły na nie miliardy ludzi, czekając, czy aby coś takiego się nie wydarzy. I to ogromne oczekiwanie, być może największe skumulowane oczekiwanie w całej historii ludzkości, mogło moim zdaniem z łatwością sprawić, że stało się to, co się stało. Choć nie mam żadnych dowodów na poparcie swojej teorii, tak egzotyczne wyjaśnienie wydaje mi się bardziej prawdopodobne niż teoria o celowym wysadzeniu budynku".

16 Med-art – zastępcza służba cywilna i publikacja artykułu

Po studiach trzeba było odbyć obowiązkową służbę wojskową albo jej zamiennik, czyli tak zwaną zastępczą służbę cywilną. Ojciec załatwił mi ją w Med-arcie. Początkowo miała istnieć tylko na papierze: oficjalnie miałem być w Med-arcie, a w tym czasie zajmować się swoimi sprawami. Wszystko zmieniła jednak rozmowa z właścicielem firmy, Jánem Holecem. Kiedy narzekałem mu na bieżące perypetie w QBSW, nagle, w środku rozmowy, uznał, że służbę będę musiał odbyć osobiście. Mocno mnie to zaskoczyło, ale ostatecznie stało się mile widzianą drogą wyjścia z QBSW, z pośpiechu i stresu towarzyszących projektom, nad którymi tam pracowałem. Podświadomie i tak chciałem się z QBSW wycofać. W Med-arcie powierzono mi stworzenie nowej firmowej strony internetowej, bo dotychczasowa była bardzo zaniedbana. W dwa tygodnie coś skleciłem. Wyglądało całkiem przyzwoicie, co przy poprzednim stanie strony nie było szczególnym osiągnięciem, i zawierało katalog leków sprzedawanych przez Med-art aptekom wraz z aktualnymi cenami. Ceny były półautomatycznie przenoszone z wewnętrznego systemu informatycznego do tabel MySQL, na których opierała się witryna, więc pozostawały dość świeże. Nowa strona spodobała się kierownictwu i dzięki niej zyskałem spore zaufanie właściciela. Niechętnie patrzył na moje powodzenie w Med-arcie szef informatyków. Widział we mnie konkurenta i najwyraźniej bał się, że mógłbym go zastąpić.

Raz na trzy miesiące Med-art wydawał własne czasopismo firmowe – Medium. Napisałem do niego kilka artykułów: o rzeczywistości wirtualnej, bezpiecznym korzystaniu z bankowości internetowej i podobnych tematach edukacyjnych. W tym czasie przygotowywałem jednak tekst, którego publikacja tak mocno wstrząsnęła moim życiem, że na długie lata skierowała je zupełnie gdzie indziej, niż sobie wyobrażałem.

Nieco wcześniej w takim niby-tygodniku dla intelektualistów, Domino fórum, ukazał się mój artykuł zatytułowany „Technologie informacyjne – nareszcie droga do nowego społeczeństwa?". Zarysowałem w nim w gruncie rzeczy wizję społeczeństwa poznaną z książek Walscha. Dodałem też kilka własnych przemyśleń i to, co wiedziałem choćby o Kasie Państwowej oraz innych aktualnych sprawach. Już w tym samym numerze opublikowano odpowiedź na mój tekst. Jej autor nazywał się, o ile pamiętam, Matej Šuster i oczywiście powierzchownie skrytykował całą ideę. Część jego zastrzeżeń można było bez trudu odeprzeć, wystarczyło zastanowić się trochę głębiej. Postanowiłem więc napisać własną odpowiedź i zamieścić ją na portalu dziennika sme.sk.

Nazajutrz po publikacji artykułu siedziałem przy komputerze w Med-arcie i odpowiadałem na komentarze czytelników. Niestety, w tych odpowiedziach mocno się zagalopowałem. Niepotrzebnie obraziłem część dyskutantów za to, że ośmielili się powątpiewać w mój „genialny" plan zbawienia świata. Kiedy po kilku dniach przeczytałem swoje odpowiedzi na cudze komentarze, miałem ochotę zapaść się pod ziemię ze wstydu. Wyraźnie pobrzmiewał w nich ton dwudziestoczteroletniego smarkacza, któremu najwyraźniej dotąd udawało się wszystko, czego się tknął, i który był chorobliwie pewny swoich planów. Miałem poczucie, że tymi komentarzami raz na zawsze przekreśliłem szanse na zmianę świata. Wydawało mi się, że wystarczy pokazać moje reakcje komukolwiek, a od razu zrozumie, że jestem debilem, a nie genialnym reformatorem świata, który wreszcie przynosi skuteczną zmianę, mającą ostatecznie odmienić sposób, w jaki ludzie odnoszą się do siebie. Nawet po latach trudno mi czytać te własne komentarze, choć

w gruncie rzeczy było to tylko stosunkowo niewielkie przekroczenie granicy, nieporównywalne z tym, co niektórzy potrafią dziś wypisywać w internecie. Wtedy jednak tak nie myślałem. Sam całkowicie wyeliminowałem się z gry. Na dodatek pochwaliłem się artykułem przed szefem informatyków w Medarcie, który skorzystał z okazji i prawdopodobnie barwnie opisał moją społeczną rewolucję właścicielowi, Holecowi. Niektóre z moich odpowiedzi podważały kapitalizm jako taki. Pojawiały się w nich uwagi w rodzaju: „Idź do swojej lekarki i poproś o receptę, to zobaczysz, jaki doskonały jest kapitalizm". Właścicielowi firmy zajmującej się dystrybucją leków oczywiście nie mogło się to spodobać.

Z dnia na dzień przeniesiono mnie więc z działu informatycznego do magazynu, gdzie zamiast tworzyć stronę internetową kompletowałem leki do zamówień.

Ogromna frustracja z powodu tego, jak bardzo sam siebie zawiodłem – w istocie poczucie, że jednym artykułem i kilkoma komentarzami w spektakularny sposób zniszczyłem wszystkie plany na przyszłość – oraz takie drobiazgi jak przeniesienie do podrzędnej pracy, które również nie poprawiały mi nastroju, sprawiły, że z dnia na dzień zacząłem widzieć wszystko w najczarniejszych barwach. Do tego stopnia, że nie widziałem powodu, by dalej żyć, i niewiele brakowało, żeby skończyło się to tragicznie. W gruncie rzeczy bardzo chciałem umrzeć na miejscu. Tak silnie odrzucałem rzeczywistość, którą uważałem za kompletnie zrujnowaną, że zdołałem świadomie zemdleć. Świadomie skupiłem się z ogromną siłą na swoim pierwszym układzie sygnałowym, aż naprawdę udało mi się wyłączyć wolą. Sądzę, że gdzieś tu tkwią początki moich późniejszych problemów ze stwardnieniem rozsianym. Prawdopodobnie udało mi się przestawić w organizmie przełącznik, który sprawił, że ciało zaczęło atakować samo siebie. Stwardnienie rozsiane jest bowiem chorobą autoimmunologiczną, w której komórki odpornościowe organizmu atakują inne jego komórki, jakby zwalczały jakąś infekcję. Zemdlałem na parkingu przed Tesco. Przyjechała po mnie karetka; w niej na chwilę odzyskałem przytomność. W pełni ocknąłem się dopiero w szpitalnym łóżku na oddziale psychiatrycznym. Lekarz, który mnie przyjmował, uznał na mój widok, że musiałem zażyć jakieś narkotyki. Mama zaprotestowała: to wykluczone. Ostateczna diagnoza brzmiała: schizofrenia. Tak bardzo rozchwiałem własne zdrowie, że przez następnych dziewięć lat każdy większy stres psychiczny kończył się epizodem schizofrenii i pobytem w szpitalu w Nitrze.

Epizody te objawiały się u mnie zwiększoną wrażliwością na wszelkie bodźce psychiczne. W takim stanie potrafiłem na przykład rozpłakać się przy smutnej scenie w filmie, choć wcześniej nigdy normalnie mi się to nie zdarzało. Raz doszło nawet do tego, że odrobina zwątpienia ze strony ojca tak bardzo mnie dręczyła, iż w psychozie przeżyłem we własnym wnętrzu ukrzyżowanie tak, jakbym to ja był krzyżowany.

17 Ukrzyżowanie

Ojciec siedzi naprzeciwko mnie przy kuchennym stole. Światło załamuje się na krawędzi szklanki z herbatą, a w pokoju panuje cisza południowej sjesty, w której słychać nawet własny oddech. Powoli, niemal z namaszczeniem opróżnia mój portfel – papierek po papierku, kartę po karcie. Układa je w równe stosiki, jakby przebierał ziarenka ryżu przed gotowaniem.

„Do czego ci to?" – pyta, a przez jego czoło przemyka cień. Jego słowa wywołują we mnie burzę. Lewy nadgarstek przeszywa potężny, tępy ból. Nadgarstek przebity grubym rzymskim gwoździem. Jego niedowierzanie w tak błahą sprawę jak to, że na pewno mam jakiś powód, by nosić tę kartę, narasta w mojej psychozie do tego stopnia, że przeżywam ukrzyżowanie, jakbym to ja był na krzyżu.

To karta wstępu na siłownię, bez niej mnie nie wpuszczą. Ojciec kiwa głową na znak, że rozumie. Czuję ogromną ulgę, że zrozumiał – że nie jestem po prostu dziwakiem, który bez powodu nosi w portfelu śmietnik – i ból w lewym nadgarstku znika. Ulga jest równie intensywna, jak wcześniej spotęgowany ból.

Zaraz potem pada kolejne pytanie: „A to ci po co?". Potężny, tępy ból w lewym nadgarstku powraca wraz z wyraźnym odgłosem młotka po raz drugi uderzającego we wbity gwóźdź.

Boże Ojcze, dlaczego pyta mnie o coś tak oczywistego? Dlaczego po prostu mi nie wierzy? Po wyjaśnieniu przychodzi ulga podobna do tej po pierwszej odpowiedzi. I staje się dla mnie jasne, że właśnie doświadczyłem pełni kręgu istnienia: najpierw cierpienie zrodzone z niejasności, zwątpienie w samego siebie aż do szpiku kości. Potem wyjaśnienie i ogromna ulga. Ulga, która usprawiedliwia i koi nawet tak wielki fizyczny ból, jaki może przynieść człowiekowi ukrzyżowanie. Boże Ojcze, dziękuję Ci, że tak się to skończyło! Łzy napływają mi do oczu.

Boże Ojcze, Syn Cię wzywa, niech i góra będzie żywa! Wszak i kamień może, ba, wręcz musi to odczuwać, swoim bytem byt nasycać!

Nigdy nie zastanawiałem się nad tym, jak właściwie krzyżowano ludzi. Zaskoczyło mnie, że gwoździe czułem w nadgarstkach, a nie w dłoniach, jak zwykle się to przedstawia. Później pytałem babcię i pewnego księdza, w które miejsca naprawdę przybito Jezusa do krzyża. Oboje twierdzili, że w nadgarstki, a nie w dłonie, ponieważ dłonie nie utrzymałyby całego ciężaru ciała.

18 Praha

Kiedy jako tako doszedłem do siebie po nieszczęsnych komentarzach do artykułu, do Med-artu już nie wróciłem. Zaczął się nieprzyjemny okres szukania pracy, w której mógłbym dobrze się czuć. Najpierw próbowałem w Nitrze, w firmie tworzącej system bankowy. Wszystko było jednak napisane w C, co po kilku latach pracy w językach wyższego poziomu, w których programista nie musiał zajmować się takimi sprawami jak przydzielanie i zwalnianie pamięci, wydawało mi się bardzo niewygodne. Kolejną próbę podjąłem w firmie dostarczającej bankom systemy Treasury. To też mi nie odpowiadało, bo z kolei miało zbyt mało wspólnego z programowaniem. Było to raczej doradztwo wymagające bardzo dobrej znajomości dostarczanego przez firmę systemu. Za trzecim razem poszukiwania pracy przyniosły jednak skutek. Tibor znalazł tymczasem w Pradze bardzo dobrze płatne zajęcie na własnej działalności. Słyszałem wtedy już o kilku kolegach ze studiów, którym podobnie udało się tam odnaleźć. Zacząłem więc śledzić oferty na czeskich portalach pracy. W końcu trafiłem na właściwą. Ludzie z Accenture szukali specjalisty od Oracle do projektu bankowości internetowej dla banku Česká spořitelna. Rozmowa przebiegła zupełnie gładko, choć widziałem, że słowacki menedżer, który mnie wybierał, nie był do końca pewien moich umiejętności. Nie było bowiem żadnego sprawdzianu – przyjął mnie wyłącznie dlatego, że zrobiłem na nim dobre wrażenie.

Już po pierwszym dniu wiedziałem jednak, że to wreszcie praca, w której będę się czuł jak ryba w wodzie. Chodziło o czysto bazodanowe programowanie w PL/SQL na bazie danych banku, na potrzeby projektu bankowości internetowej. Modernizowano bankowość internetową, dodawano bankowość GSM i mnóstwo innych funkcji. Moim przełożonym został bardzo zdolny kolega, starszy o rok czy dwa – Jirko Dvořák. Jirko był tak bystry, że czasami miałem wrażenie, iż wyprzedza mnie o całe lata świetlne. Dzięki temu byłem pod względem intelektualnym nieco osłonięty od wiatru: jeśli coś było niejasne, wystarczyło go zapytać i problem znikał. W Pradze czułem się bardzo dobrze. Niedaleko pracy znalazłem małe mieszkanie, do którego z czasem wprowadziła się Katka. Było nam świetnie, pieniędzy wystarczało, jadaliśmy głównie w restauracjach, nie mieliśmy zmartwień. Wystarczyło raz w tygodniu zrobić zakupy i posprzątać, żeby dobrze się nam mieszkało. Katka znalazła jakieś dorywcze zajęcie w szkole językowej, gdzie uczyła niemieckiego. Nie zarabiała wiele, ale też nie było takiej potrzeby. Choć żyło nam się bardzo dobrze, między nami zaczęło trochę zgrzytać. Nie umiałem pogodzić się z tym, jak patrzyła na pewne sprawy. Prawdopodobnie zaczęło nam też ciążyć ciągłe przebywanie ze sobą i niektóre cechy jej charakteru mocno mi przeszkadzały. Ostatecznie rozstaliśmy się, a ona wyjechała do Londynu jako au pair. Po pewnym okresie spokoju odezwała się moja schizofrenia. Był to jakiś dziwny czas – chyba listopad 2004 roku. Nie pamiętam dokładnie, co się wtedy wydarzyło. Znów stałem się nadwrażliwy na wszelkie bodźce psychiczne. O ile pamiętam, był piątek, a tydzień zakończyłem, płacąc praskiemu taksówkarzowi kilka tysięcy koron czeskich za odwiezienie mnie do domu, do Nitry, czyli jakieś 420 kilometrów. Nie miałem siły tłuc się autobusem. Znów trafiłem do szpitala. Wydaje mi się, że było to tego samego dnia, w którym przez Wysokie Tatry przeszła wichura. Coś złego wisiało w powietrzu i zupełnie mną wstrząsnęło. Nie była to wprawdzie burza w dosłownym sensie, taka, o jakiej śpiewa się w słowackim hymnie, ale kiedy zobaczyłem spustoszenie pozostawione przez wichurę, pierwsza myśl była taka, że po podobnej klęsce Słowacy mogliby wreszcie naprawdę ożyć, tak jak w słowach hymnu.

Kiedy po kilku tygodniach wracałem już spokojniejszy do Pragi, menedżer z Accenture zaproponował mi na kolejne pół roku takie warunki, że nie wierzyłem własnym oczom. Dostałem ofertę półrocznego kontraktu ze stawką odpowiadającą 60 EUR za godzinę. Przez następne sześć miesięcy dzięki temu kontraktowi właściwie podwoiłem swój majątek. Był to najlepiej opłacany okres w moim życiu. Niestety trwał bardzo krótko. Menedżer założył rodzinę na Słowacji, a mnie po wygaśnięciu kontraktu zaproponowano w banku Česká spořitelna zwykłą umowę o pracę na etacie. Zawodowo sprawy zaczęły się pogarszać: mocno się przy projekcie nudziłem i pod koniec kontraktu byłem już przez tę nudę częściowo wypalony, a ciągłe szukanie sposobów na zabicie czasu zaczynało mnie doprowadzać do szału. Kiedy bank chciał, żebym przeszedł na zwykły etat za pieniądze w porównaniu z poprzednim kontraktem właściwie śmieszne, postanowiłem spróbować szczęścia gdzie indziej.

19 Wakacje w Indiach

We wrześniu 2006 roku spędziłem dwa tygodnie wakacji w Indiach. Ubóstwo tego kraju mną wstrząsnęło. Kiedy zobaczyłem, w jakiej biedzie żyje tak ogromna liczba ludzi, zrozumiałem, że Indie mają wielki potencjał. Gdyby każda z tych wyciągniętych po jałmużnę rąk zaczęła robić coś sensownego, działyby się cuda. To, co można by zrobić, krzyczało z każdej zaniedbanej, rozpadającej się ulicy, budynku czy świątyni. Stan Indii przypominał mi Niemcy po drugiej wojnie światowej, które oglądałem w różnych dokumentach historycznych. Gdyby ktoś stanął na czele przedsięwzięcia podobnego do planu Marshalla i zrealizował je w Indiach, przyniosłoby to większy efekt niż w powojennej Europie.



Przy Taj Mahal

Po powrocie z wakacji zaniepokoił mnie stan zdrowia – chodzenie zaczęło sprawiać podejrzanie duże trudności – więc zgłosiłem się do neurologa. Trafiłem do szpitala, gdzie z powodu podejrzenia stwardnienia rozsianego pobrano mi płyn mózgowo-rdzeniowy z kanału kręgowego. Kiedy jednak powiedziałem neurologowi, że niedawno byłem na wakacjach w Indiach, od razu uznał, iż prawdopodobnie złapałem tam jakąś egzotyczną chorobę, i przeniósł mnie na oddział zakaźny. Gdy wyniki badania płynu wróciły z Bratislavy do szpitala w Nitrze, nie obejrzał ich żaden neurolog, bo leżałem już na zakaźnym. Dopiero pięć lat później zobaczyła je neurolog prowadząca mnie w przychodni i na pierwszy rzut oka stwierdziła: „Ale przecież pan ma stwardnienie rozsiane". Przez bałagan na szpitalnych oddziałach neurologicznym i zakaźnym straciłem pięć lat leczenia. Jest bardzo prawdopodobne, że gdyby terapię

rozpoczęto od razu, tak jak należało, nie trafiłbym na wózek. Za swój stan częściowo odpowiadam jednak sam. Kilka razy wyraźnie czułem, że coś jest nie tak, ale uspokojony wcześniejszymi badaniami zostawiałem to bez dalszego działania.

20 Irlandia

Po powrocie z wakacji odbyłem rozmowę kwalifikacyjną z pewnym Czechem, który był kierownikiem projektu w firmie tworzącej system informatyczny dla uniwersytetów w Irlandii. Nazywał się Jan Navrátil. Zmiana kraju, a wraz z nim otoczenia, wydawała mi się czymś mile widzianym. W Irlandii nie wytrzymałem jednak nawet pełnego półrocza. Nie miałem tam żadnych znajomych, wszystko było tak drogie, że nie mogłem sobie pozwolić nawet na jedzenie w restauracjach. Za sam wynajem jednego pokoju w trzypokojowym mieszkaniu płaciłem 700 EUR, czyli około jednej trzeciej pensji. W projekcie też nie odnalazłem się tak, jak tego ode mnie oczekiwano. Jan Navrátil okazał się godny swego nazwiska i bardzo szybko sprawił, że wróciłem na Słowację.

21 Sony i wypadek samochodowy

Jeszcze pracując w Irlandii, umówiłem się na Słowacji na rozmowę w sprawie ewentualnego zatrudnienia w Sony Slovakia. Zacząłem tam pracować w maju 2007 roku. Codziennie dojeżdżałem własnym samochodem do Trnavy, gdzie Sony miało zakład, a przy okazji zabierałem innych ludzi z Nitry, którzy dokładali się do benzyny. Szefem działu informatycznego był pewien Węgier, o którym słuchałem każdego ranka w drodze do pracy. Najwyraźniej był zupełnie nieudolny i rekompensował to sobie, gnębiąc podwładnych. Nie podlegałem mu bezpośrednio: pracowałem w dziale położonym niżej w hierarchii i dzieliło mnie od niego kilku rozsądnych ludzi, którzy zachowywali się przyzwoicie. Co rano woziłem jednak kolegę będącego jego bezpośrednim podwładnym, a ten barwnie opisywał mi wszystko, co tam się działo. W pewien sierpniowy piątek 2007 roku nałożyło się na siebie kilka złych rzeczy i nagle coś we mnie pękło. Rano znów słuchałem w drodze do pracy skrajnie zestresowanego kolegi skarżącego się na szefa. W pracy kazano mi robić rzeczy, z którymi nie czułem się dobrze, przygniotło mnie poczucie porażki po nieudanym wyjeździe do Irlandii i w końcu uznałem, że to wszystko po prostu nie ma już sensu. Spędzałem w pracy więcej czasu w toalecie niż przy komputerze i nakręcałem się coraz bardziej w przekonaniu, że muszę coś radykalnie zmienić. Po powrocie do Nitry wsiadłem do samochodu i skierowałem się na drogę, którą znałem najlepiej w życiu. Drogę do babci. W czasie jazdy zapiąłem pas, bo przypomniałem sobie ojca, który podkreślał to przy każdej podróży samochodem. Nie miałem ochoty rozmawiać z policjantem o mandacie, gdyby przypadkiem zatrzymano mnie bez zapiętego pasa. Ciągłe pouczanie przez ojca prawdopodobnie uratowało mi życie. Niedaleko za Cabajem był odcinek, na którym droga skręcała w lewo, a na wprost rosło drzewo. Kiedy je zobaczyłem, przez chwilę ucieszyłem się, że znalazłem to, czego szukałem. Wystarczyło nie wejść w zakręt i byłoby po wszystkim. Kierowca jadący za mną natychmiast po wypadku zatrzymał się i przybiegł z pomocą. Pierwsze, co ode mnie usłyszał, brzmiało mniej więcej tak: „To człowiek nie może się już nawet swobodnie zabić?”. Na szczęście nie zrozumiał dobrze mojego mamrotania. Z jego perspektywy wyglądało to tak, jakbym na moment zasnął i nie pokonał zakrętu. Kiedy przyjechali mama i wujek, powiedziałem im, że była to próba samobójcza. Mama uznała ją za kolejny objaw schizofrenii i znów trafiłem na oddział psychiatryczny w szpitalu w Nitrze.

22 Powrót do Pragi

Po wyjściu ze szpitala do Sony już nie wróciłem. Mniej więcej w tym czasie poznałem pewnego chłopaka – Martina. Miał na Słowacji firmę sprzedającą usługi związane ze stronami internetowymi. Dobrze się z nim dogadywałem, był całkiem inteligentny i zabawny. Kiedy usłyszałem, czym się zajmuje, pomyślałem, że to samo można by powtórzyć w Pradze, na rynku czeskim. Założyliśmy więc wspólnie spółkę z ograniczoną odpowiedzialnością, ja przeniosłem się do Pragi, wynająłem tam mieszkanie na firmę i próbowałem sprzedawać na czeskim rynku przede wszystkim usługi tworzenia stron internetowych na zamówienie. Szybko odkryłem, że sprzedaż usług, które były już wtedy właściwie powszechne, nie jest bułką z masłem. Już wówczas większy sens miało tworzenie rozwiązań pozwalających niemal każdemu zbudować stronę za parę koron. My jednak robiliśmy witryny osobno dla każdej firmy, a to nie był już dobry pomysł na biznes. Sądzę, że jako tako udawało się utrzymywać firmę na powierzchni, ale żadnego wielkiego sukcesu nie było. Przed stratami uratowało nas właściwie tylko to, że swoim dawnym kontaktom w Pradze poleciłem kolegę ze studiów jako utalentowanego programistę baz danych do projektu w firmie Česká pojišťovna. Później udało się znaleźć w Czechach partnerów korzystających z produktu Martina – systemu CMS opartego na .NET – i wykonywaliśmy jego modyfikacje na zamówienie różnych klientów tej czeskiej firmy. Moją działalność w Pradze znów jednak przerwała choroba. Po raz kolejny musiałem zgłosić się do szpitala w Nitrze, gdzie stawiano mnie na nogi. Pasmo niepowodzeń było po prostu ponad moje siły. Nie miałem poczucia sensu życia ani wartościowego związku, w którym widziałbym prawdziwą przyszłość, i odbijało się to na moim fatalnym stanie psychicznym. Tym razem pobyt w szpitalu nie pomógł; musiałem jeszcze spędzić trzy miesiące w Záluží koło Nitry. Kiedy tam zdołano mnie jako tako doprowadzić do ładu, zacząłem rozglądać się za pracą. Z działalności stopniowo się wycofałem, pozostawiając ją Martinowi.

23 Infostat i projekt dla Eurostatu

Na początku lata 2009 roku po raz pierwszy w życiu podjąłem na Słowacji stałą pracę na etacie jako programista baz danych w Infostacie. Infostat był półpaństwową organizacją powiązaną z Urzędem Statystycznym Republiki Słowackiej. Początkowo pracowałem nad projektem dotyczącym skonsolidowanych wskaźników statystycznych. Stopniowo przeniesiono mnie jednak do projektu, który w formie jakiegoś grantu zlecił swoim organizacjom partnerskim Eurostat, a może bezpośrednio Komisja Europejska. Chodziło o to, że Eurostat próbował usprawnić działanie urzędów statystycznych w poszczególnych krajach. Opracowano format danych statystycznych – SDMX – i zlecono różnym firmom w całej Unii Europejskiej stworzenie narzędzi, które miały się za jego pomocą komunikować.

Zadaniem naszego projektu było sprawdzenie, czy da się nagiąć istniejące rozwiązania SDMX tak, by służyły również do zbierania mikrodanych – na przykład danych z wypełnianych formularzy statystycznych. Infostat otrzymał grant, ponieważ wcześniej opracowywał system ankietowy do statystycznych mikroformularzy, służący gromadzeniu danych bezpośrednio od respondentów: przedsiębiorców lub osób fizycznych. Kiedy przeniesiono mnie do projektu, osoby nim kierujące były nieco zrozpaczone, bo dotąd nikt nie potrafił wymyślić, jak połączyć standard SDMX z formularzami.

Wkrótce potem odbyła się pierwsza podróż służbowa do Luksemburga. Pojechał cały zespół uczestniczący w jakikolwiek sposób w projekcie. Celem wyjazdu było wreszcie ruszyć sprawę z miejsca i rozgryźć problem. Po dyskusji w Eurostacie stało się jasne, że nie za bardzo nam w tym pomogą. Kiedy wróciliśmy, koleżanka, która również była na wyjeździe, zrobiła coś prostego. Na podstawie jednego z artefaktów XSD standardu SDMX utworzyła plik zawierający prymitywny opis formularza. Rozłożyła cały formularz na tabelę, w której komórkach znajdowały się poszczególne pola. Gdy to zobaczyłem, pomyślałem, że można na tej podstawie stworzyć prosty system, który z takiego opisu wygeneruje formularz elektroniczny i umożliwi zbieranie danych. Było to w gruncie rzeczy rozwiązanie problemu gromadzenia mikrodanych za pomocą SDMX, choć na bardzo prymitywnym poziomie. Niepraktyczne zastosowanie SDMX do celu, do którego go nie przeznaczono, kulało na obie nogi, ale skoro chcieli, żebyśmy wbijali gwóźdź śrubokrętem, spełniliśmy ich życzenie. Dość szybko skleciłem taki system i nikt nie mógł zarzucić, że nie wykonaliśmy zadania. Kiedy potem pokazywałem go innym na konferencji SDMX, chyba w Göteborgu, tylko się zaśmiali: „Owszem, byliśmy ciekawi, jak rozwiązaliście ten problem, ale za to raczej nie dostaniecie Nobla". Ostatecznie dzięki silnym „politycznym" kontaktom kierownika projektu w Eurostacie przedsięwzięcie doczekało się kontynuacji. W drugiej części to ja byłem już jego szefem. Połączyłem swój system formularzy online z infrastrukturą SDMX, wykorzystując pakiety oprogramowania opracowane dla tego standardu. Udało mi się nawet doprowadzić do tego, że oficjalnie, za pewnym wynagrodzeniem, pomagali mi w projekcie Martin i inni bliscy mi ludzie. W tej kontynuacji, z pomocą Martina, przebudowałem system formularzy na nowocześniejszą architekturę i dodałem połączenie z infrastrukturą SDMX. Powstał uniwersalny system formularzy zintegrowany z SDMX. Praca dla Infostatu była wprawdzie marnie płatna, ale możliwość angażowania w ten sposób bliskich mi osób z zewnątrz trochę rekompensowała kiepską pensję. Martin później odwdzięczył mi się za tę pomoc, zatrudniając mnie u siebie. Mając możliwość decydowania, dokąd popłyną pieniądze z projektu, zakosztowałem pokus związanych z taką pozycją. Wypadłem tylko przeciętnie, ale z dzisiejszej perspektywy widzę w tym doświadczeniu bardzo cenną lekcję: w takich sytuacjach trzeba niezwykle uważnie pilnować samego siebie, bo stosunkowo łatwo się ześlizgnąć. Pewne rzeczy uświadomiłem sobie dopiero teraz, po ponad trzynastu latach. Najcenniejszy wniosek jest taki, że reforma społeczna nie może się opierać na moralności lub niemoralności jednego człowieka. Trzeba ją zbudować tak, by działała dostatecznie dobrze nawet wtedy, gdy realizują ją ludzie o stosunkowo słabszym kręgosłupie moralnym. Choćby centralna postać społecznej przemiany była wzorcem moralności i sprawiedliwości, może się łatwo zdarzyć, że z dnia na dzień jej zabraknie. Mimo to przemiana powinna trwać dalej na takim samym poziomie – również z udziałem ludzi znacznie bardziej podatnych na rozmaite pokusy świata.

24 Długa droga z Luksemburga do domu

Ostatnie, zamykające projekt spotkanie w Luksemburgu okazało się niezwykłą przygodą. Nie zostawiłem sobie dostatecznego zapasu czasu przed wylotem, a na dodatek kierowca z Infostatu, który wiózł mnie na lotnisko, przy dojeździe źle skręcił. Spóźniłem się na samolot. Nie wiedziałem, co robić. Uznałem, że najrozsądniej będzie zapłacić za inny lot, co kosztowało mnie 500 EUR z własnej kieszeni. Był to tak duży stres, że prawdopodobnie wpadłem w łagodną psychozę, ponieważ znów zbyt intensywnie przeżywałem niektóre rzeczy. W hali odlotów ludzie czekali na samolot do Amsterdamu, gdzie miałem się przesiąść. Była wśród nich grupa czarnoskórych osób. Był też pewien biały chłopak z ogoloną głową. Nie wiem, na ile obiektywnie go oceniałem, ale w moim odczuciu z każdego jego gestu wylewał się rasizm. Obecność czarnoskórych wyraźnie mu przeszkadzała. Zastanawiałem się, jak to widzi, i próbowałem wczuć się w jego położenie. Myślę, że natura wyposażyła białych ludzi, którzy w swojej kulturze rzadko spotykali się z taką różnorodnością, w pewien wewnętrzny opór przed kontaktem z osobami o innym kolorze skóry. Po prostu wyraźna odmienność, zwłaszcza jeśli nie obcujemy z nią od urodzenia, wzbudza negatywne uczucia. Ale po to człowiek ma własny rozum, żeby nie dopuszczać do siebie tak prymitywnych uprzedzeń. Żeby nie kierować się pierwszym układem sygnałowym – żeby nad sobą panować. Konieczność dobrego kierowania własnymi uczuciami przenika całe ludzkie życie. Gdybyśmy wszyscy pod wpływem pierwszego impulsu wyrzucali z siebie każde uczucie, cywilizacja rozpadłaby się w ciągu tygodnia.

Patrząc, jak łysy chłopak się wierci, zrobiłem coś, co jeszcze gwałtownie zwiększyło jego dyskomfort. Otworzyłem butelkę mrożonej herbaty i napiłem się prosto z niej. Zaraz potem zaproponowałem łyk z tej samej butelki czarnoskóremu mężczyźnie, obok którego siedziałem. Odmówił, ale podejrzewałem, że domyśla się, dlaczego to zrobiłem. Uprzejmie podziękował i uśmiechnął się do mnie. Łysy, widząc, jak proponuję czarnoskóremu picie z własnej butelki, niemal eksplodował na miejscu. Przez chwilę bawiło mnie, jak mój gest wytrącił go z równowagi, po czym wsiadłem do samolotu. Wysiadłem w Amsterdamie, gdzie musiałem czekać na lot do Luksemburga.

Na lotnisku Schiphol w Amsterdamie przesiedziałem około dwóch godzin w pizzerii. Kręciła się tam wokół mnie jakaś, być może miejscowa, a może międzynarodowa poszukiwaczka przygód o wyglądzie stewardesy. Najwyraźniej jej się spodobałem i przez pewien czas wysyłała w moją stronę najrozmaitsze sygnały flirtu, aż w końcu zrozumiała, że nic z tego nie będzie. Kiedy próbowałem wczuć się w jej sytuację, miałem wrażenie, że często podrywa na lotnisku mężczyzn na jednorazowe przygody i całkiem ją to bawi.

Po przyjeździe do Luksemburga zameldowałem się w dobrze znanym hotelu i przygotowałem na poniedziałek. Przez cały poniedziałek znów byłem skrajnie wrażliwy na wszystko. Podczas końcowej prezentacji pokazałem to, co stworzyłem: kompletny system ankietowy z jednym konkretnym kwestionariuszem jako przykładem zastosowania. Całość była przy tym połączona z istniejącymi narzędziami SDMX, więc od razu po zebraniu danych można je było udostępnić przez SDMX. Próbowałem wczuwać się w każdego człowieka, z którym tego dnia rozmawiałem. Podejrzewam, że musiało to być jakoś widoczne, bo takie zachowanie chyba nie było normalne.

Powrót okazał się jeszcze większą przygodą niż podróż w tamtą stronę. Znów pojawiły się problemy z lotami: w Amsterdamie nie zdążyliśmy na samolot do Wiednia. Podczas lotu z Luksemburga do Amsterdamu siedziałem obok pewnego Irlandczyka. W jego sytuację też bardzo starałem się wczuć – ciekawiła mnie historia zupełnie obcego człowieka, którego spotyka się w samolocie. Najwyraźniej wyczuwał, że coś się ze mną dzieje, bo po chwili zagadnął. Był jakimś bankierem w UBS. Najwięcej opowiadał o swoich córkach. O tym, że ma dla nich mało czasu. Jakby czuł, że musi się przede mną z czegoś tłumaczyć. Po przylocie do Amsterdamu, z powodu spóźnienia na dalszy lot do Wiednia, musiałem tam przenocować. Spałem chyba tylko trzy godziny w hotelu niedaleko lotniska. O piątej rano znów byłem na lotnisku i czekałem na samolot do Wiednia. Po przylocie na Schwechat poczułem, że znowu jestem pobudzony. Wzrok padł mi na tablicę z rozkładem pociągów do Wiednia. Zamiast do Bratislavy ruszyłem do Wiednia, bo po prostu wydało mi się to dobrym pomysłem. Zjadłem obiad w jakiejś dobrej restauracji. Nie miałem ochoty zastanawiać się, jak dotrzeć do Bratislavy. Poprosiłem więc o wezwanie taksówki, która zawiozła mnie pod Infostat w Bratislavie, gdzie odebrał mnie ojciec. Po przyjeździe do Nitry rodzice szybko zorientowali się, co znów się dzieje, i zabrali mnie do szpitala. Był to ostatni epizod schizofrenii w moim życiu. Od tamtego września 2012 roku aż do dziś podobny problem już się nie powtórzył.

Po zakończeniu drugiej części projektu Infostat nie otrzymał kolejnego grantu, zapewne dlatego, że zabrakło właściwych politycznych kontaktów, jakimi dysponował poprzedni kierownik projektu w Infostacie. Sam rezultat był przecież o poziom wyżej niż w pierwszym projekcie. Tylko nie udało mi się odpowiednio go sprzedać ludziom z Eurostatu. Po zakończeniu projektu szybko pozbyto się mnie z Infostatu, bo nie mieli dla mnie innej pracy. Na szczęście dostałem odprawę.

25 Praca dla firmy oferującej roboty forexowe

Po odejściu z Infostatu Martin zaproponował mi, żebym pomógł mu w pracy nad systemem informatycznym dla jednego z jego klientów. Chodziło o projekt, za pośrednictwem którego sprzedawano tak zwane roboty forexowe. Podobno zarabiały one na krótkotrwałych różnicach arbitrażowych pojawiających się na rynkach forex.

Forex to giełda, na której handluje się parami walutowymi. Innymi słowy, klient Martina twierdził, że opracował algorytmy potrafiące zarabiać pieniądze dzięki transakcjom na parach walutowych zawieranym na giełdach forex.

Przy bliższym przyjrzeniu się model działalności firmy przypominał pod pewnymi względami piramidę finansową. Szczególnie gdy zobaczyłem, jak rozbudowano tam marketing wielopoziomowy. Kiedy opowiedziałem Tiborowi, jak to działa, od razu potępił cały projekt. Działalność trwała stosunkowo krótko: zakończyły ją jakieś czeskie organy państwowe. Mnie odpowiadało, że mam pracę, którą mogę wykonywać z domu. Miałem już wtedy zaawansowane stwardnienie rozsiane. Nie mogłem po prostu pójść gdziekolwiek i poprosić o zatrudnienie, ponieważ mogłem pracować wyłącznie zdalnie, co nie było jeszcze tak oczywiste jak po COVID-zie.

Cieszyłem się więc z tego, co miałem, i nie wychylałem się, licząc, że jakoś rozsądnie się to ułoży. W 2016 roku pokłóciliśmy się z Martinem o kilka spraw i zostałem bez pracy.

26 Dofinansowanie zakupu samochodu

Był to okres, w którym zaczynało być jasne, że prawdopodobnie skończę na wózku inwalidzkim. Załatwiając legitymację osoby ze znaczną niepełnosprawnością, ZŤP, dowiedziałem się, że osoba mająca pracę może ubiegać się o całkiem wysokie dofinansowanie samochodu na dojazdy. Obowiązywał jednak warunek: poza nieruchomością, w której mieszkała, nie mogła posiadać majątku o wartości przekraczającej 30 000 EUR. Nie spełniałem tego wymogu. Nikt jednak w żaden sposób tego nie sprawdzał. Kiedy zastanawiałem się, czy złożyć wniosek, nie miałem akurat żadnej stabilnej pracy i wyglądało na to, że jeśli sytuacja się utrzyma, mój majątek z czasem spadnie poniżej tej granicy. Brałem też pod uwagę, że renta z pewnością nie wystarczy mi na pobyt w placówce z całodobową opieką, której prawdopodobnie będę kiedyś potrzebował, gdy rodzice nie będą już mogli się mną zajmować. Po rozważeniu wszystkiego doszedłem do wniosku, że rozsądniej będzie wystąpić o dofinansowanie.

Zatrudniłem się w firmie kolegi ze szkoły i otrzymałem dofinansowanie. Ostatecznie mój stan pogarszał się tak szybko, że samochód z ręcznym sterowaniem praktycznie do niczego mi się nie przydał. Nie potrafiłem bowiem sam do niego wsiąść. Zakup okazał się wręcz krokiem przynoszącym same szkody, za który niemal zdrowiem zapłacił mój ojciec. Nieprzyzwyczajony do automatycznej skrzyni biegów, któregoś razu źle zaparkował samochód; auto ruszyło i go potrąciło. Na szczęście bez następstw. Widząc to, wolałem we wrześniu 2023 roku po prostu zwrócić Urzędowi Spraw Socjalnych i Rodziny pieniądze otrzymane w ramach dofinansowania.

W latach 2016–2019 nie miałem siły nigdzie pracować. Musiałem nauczyć się żyć z ogromną niepełnosprawnością. Jeśli chodzi o pieniądze, potrzebowałem na życie bardzo niewiele, ponieważ zamieszkaliśmy razem z rodzicami w domu w Cabaju, który wspólnie kupiliśmy. W zasadzie na pokrycie kosztów wystarczały mi renta i dochody z wynajmu mieszkania.

27 Praca dla korporacji

W 2019 roku jako tako odnalazłem się w nowej sytuacji zdrowotnej: stwardnienie rozsiane całkowicie zniszczyło mi nogi i od 2017 roku poruszałem się na wózku. Zamieszkaliśmy na wsi, w spokojnym otoczeniu, w pięknym parterowym domu. Przy domu jest też dziewięcioarowy ogród, o który rodzice zaczęli wzorowo dbać. W którymś momencie 2019 roku zabrałem się do systematycznej pracy nad projektem Viditeľné peniaze. Z opowieści Tibora wiedziałem, jakich technologii używa w swojej firmie. Postanowiłem sięgnąć po taki sam zestaw, żebyśmy w razie potrzeby mogli się później uzupełniać. Jedyną różnicą była baza danych – tu oczywiście wybrałem Oracle, z którym miałem dwadzieścia lat doświadczenia. Backend oparłem na frameworku FastAPI dla Pythona. Był wtedy nowością, ale wyglądał obiecująco. We frontendach użyłem VUE.js. Pierwsza wersja umożliwiała jedynie rejestrację użytkowników.

W 2020 roku zacząłem rozglądać się za pracą. W marcu 2021 odbyłem rozmowę kwalifikacyjną do pewnej włoskiej korporacji, która dostarczała na świecie rejestry kredytowe dla kilku krajów. Na Słowacji miała oddział programistyczny. Rozmowa poszła dobrze i od kwietnia 2021 wreszcie znów miałem pracę. I to nie byle jaką. Ze stawką rynkową starszego programisty pracującego na własnej działalności. Przy moich kosztach utrzymania, które w zasadzie pokrywała renta, oznaczało to stosunkowo wysokie miesięczne oszczędności.

Nietrudno było znaleźć zastosowanie dla tych pieniędzy: ktoś mógłby mi pomóc przy projekcie Viditeľné peniaze. Na jednym z forów programistów VUE znalazłem kilku kandydatów, którzy mogli i potrafili pomóc. Wśród nich był pewien Hindus, który mnie zaskoczył. Nie wykonał wprawdzie zadania, jakie mu zleciłem, ale zrobił coś inaczej, twierdząc, że jest to lepsze rozwiązanie od tego, którego chciałem. Kiedy się nad tym zastanowiłem, musiałem przyznać mu rację. Wybór był więc oczywisty.

Abhishek – tak miał na imię – od samego początku wniósł odczuwalny wkład. Pomógł mi zrozumieć i rozwiązać pewne problemy techniczne, z którymi zmagałem się w projekcie. Prace rozwojowe zorganizowałem tak, że odbywają się na linuksowej maszynie wirtualnej, na której z góry zainstalowano wszystko, co potrzebne. Maszyna wirtualna to coś w rodzaju osobnego komputera wewnątrz komputera, przy czym sam komputer i jego zachowanie są emulowane. Każdy może łatwo skopiować taką maszynę i od razu zacząć pracować, bez instalowania czegokolwiek więcej. Dzięki stosunkowo hojnemu finansowaniu, które mogłem zapewnić, Abhishek sprowadził jeszcze dwóch Hindusów, więc w sumie pracowało ich przy projekcie trzech.

Jeden zajmował się nim w pełnym wymiarze, dwaj pozostali mieli też inną pracę. Rozwój frontendów ruszył więc dość szybko naprzód. Ja oprócz pracy zawodowej znajdowałem czas na bazę danych i backend. W pracy wiele się nauczyłem. Włosi mieli niektóre rzeczy dopracowane tak, jak nigdzie wcześniej nie widziałem. Na przykład do zapewniania jakości kodu stworzyli narzędzie o nazwie Test Tool.

Była to aplikacja do automatycznego testowania dostarczanego oprogramowania. Pozwalała przed testem wczytać do bazy potrzebne dane z plików, które sama potrafiła tworzyć według określonych reguł. Pierwszym etapem takiego automatycznego testu było zatem załadowanie danych. Kolejnym mogło być uruchomienie testowanej funkcji, a na końcu, po zakończeniu głównej części testu, aplikacja sprawdzała

bazę. Dysponowała zapytaniem SELECT, które wykonywała na bazie, po czym porównywała wynik z oczekiwanym stanem. Jeśli wszystko się zgadzało, test uznawano za pomyślny; jeśli nie, trzeba było zbadać, gdzie tkwi problem. Ponieważ aplikacja umożliwiała automatyczne uruchamianie całych zestawów testów, była istotną pomocą w zapewnianiu jakości kodu. Przed wdrożeniem u klienta najnowszej wersji aplikacji przez poprzedzający je weekend uruchamiano w ten sposób tysiące testów. W piątek wieczorem włączano automat, a w poniedziałek rano sprawdzano, co się nie powiodło. Jeśli wszystkie testy przeszły, było niemal pewne, że wszystko działa tak, jak powinno.

28 Przedstawienie projektu Viditeľné peniaze w jego obecnym kształcie

Projekt służy zwiększeniu przejrzystości przepływów majątkowych i finansowych w społeczeństwie. W obecnej postaci pozwala sporządzić oświadczenie majątkowe – na przykład statyczne, będące po prostu wykazem majątku danej osoby na określony moment. Do aplikacji można przejść jednym kliknięciem ze strony https://viditelnepeniaze.sk albo wejść do niej bezpośrednio pod adresem https://app.visiblemoney.org/?lang=sk

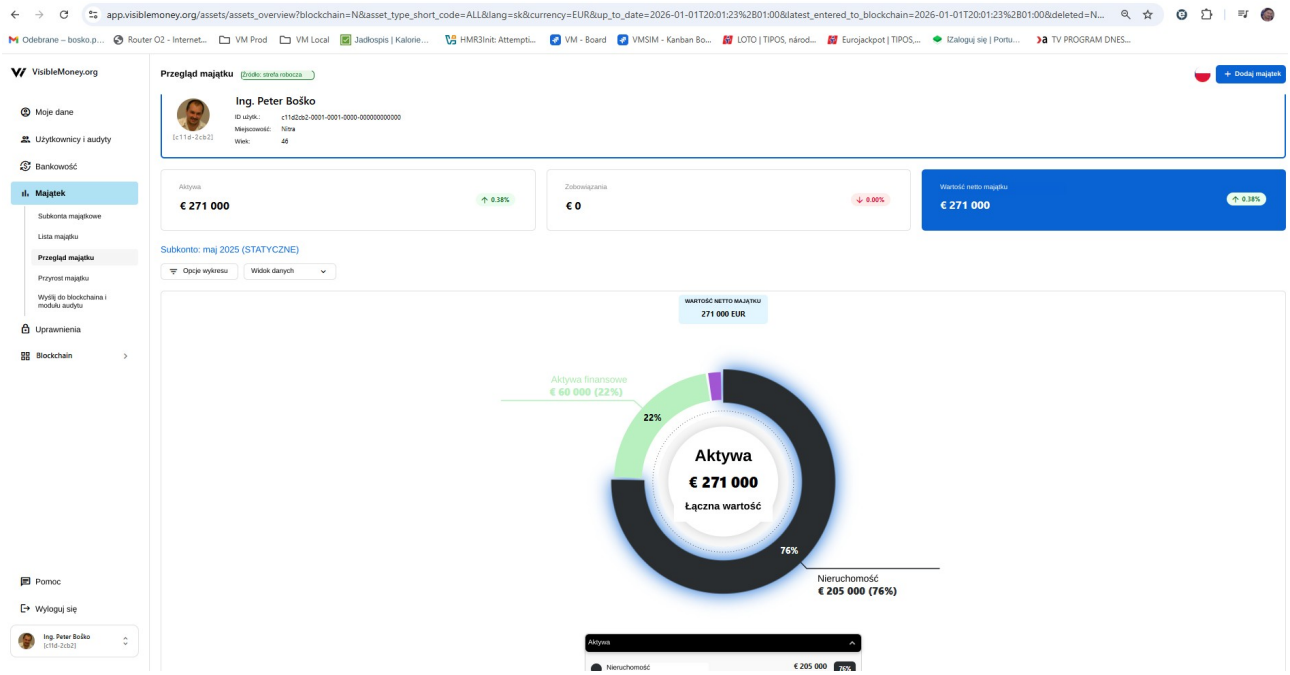

Moje statyczne oświadczenie majątkowe w projekcie według stanu na maj 2025 roku

W projekcie można też sporządzić pogłębione oświadczenie majątkowe, które obejmuje zmiany zachodzące w czasie i pozwala odczytać choćby to, ile dana osoba zarobiła na transakcjach dotyczących nieruchomości lub innych składników majątku. Widać wówczas szczegółowo, jak jej majątek osiągnął obecną wartość.

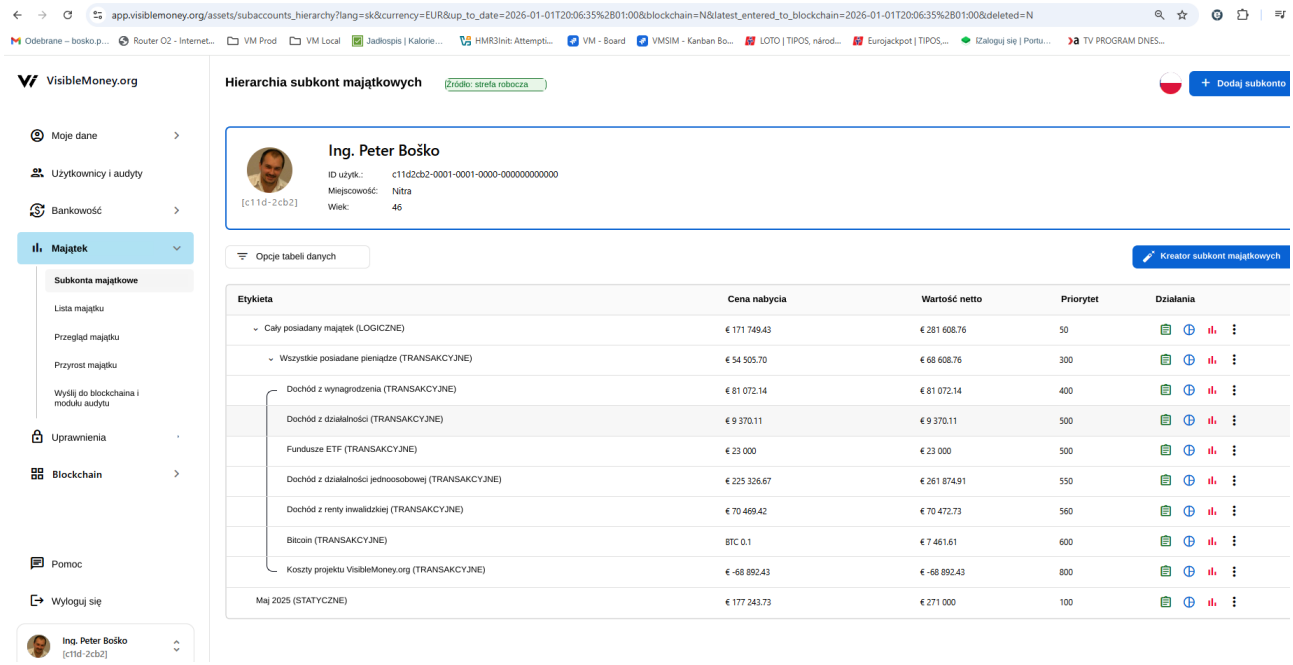

Struktura moich subkont majątkowych w aplikacji, w pogłębionym oświadczeniu majątkowym

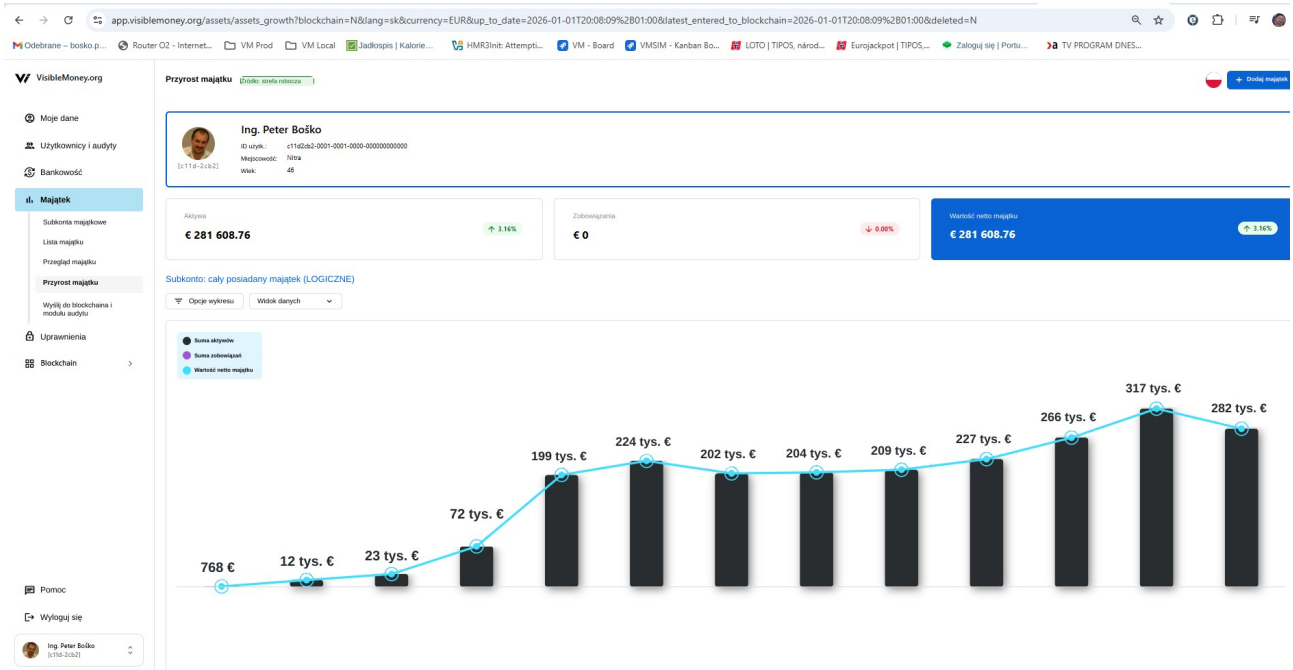

Wzrost mojego majątku w czasie, przedstawiony w aplikacji – od 1998 do 2025 roku

Nie mniej ważną funkcją projektu jest tak zwany audyt. Umożliwia on innym uczestnikom projektu wgląd w dane majątkowe użytkownika. To, kto ma prawo je przeglądać, może zależeć od stopnia przejrzystości wybranego przez daną osobę: od całkowitego braku przejrzystości, poprzez przejrzystość na żądanie i przejrzystość za pośrednictwem osoby trzeciej – tak zwanego audytora publicznego – aż po pełną przejrzystość. Przejrzystość na żądanie oznacza, że gdy ktoś poprosi o wgląd w dane użytkownika, ten musi wyraźnie zaakceptować taką prośbę – dopiero wtedy dane zostają udostępnione. Przejrzystość za

pośrednictwem audytora publicznego oznacza, że wniosek o audyt wraz z opisem trafia na biurko osoby trzeciej, upoważnionej do odpowiadania na takie zapytania. Jej zadaniem jest zapoznanie się z dokumentacją, przeprowadzenie audytu danych i przekazanie pisemnego wyniku osobie, która o niego wystąpiła. Pełna przejrzystość oznacza, że każdy zweryfikowany użytkownik aplikacji ma prawo przeprowadzić audyt danych danego użytkownika. Kolejnym elementem ograniczającym krąg osób, które zobaczą dane, może być ustawienie pozwalające na przeprowadzanie audytu wyłącznie użytkownikom zweryfikowanym na podstawie dokumentu tożsamości – dowodu osobistego, paszportu lub innego takiego dokumentu. Można więc sprawić, że audyt użytkownika będzie mogła przeprowadzić wyłącznie osoba występująca pod własnym nazwiskiem.

Część aplikacji służąca do przeprowadzania audytu ma wbudowaną tak zwaną tablicę audytową. To odpowiednik tablicy internetowej, na której wszyscy użytkownicy mający dostęp do audytu mogą zamieszczać uwagi i zgłoszenia. Moduł audytowy aplikacji pozwala zrobić zrzut bieżącego ekranu, a następnie dopisywać na nim komentarze lub wyróżniać informacje. Takie zrzuty wraz z komentarzem można później umieścić na tablicy audytowej użytkownika.

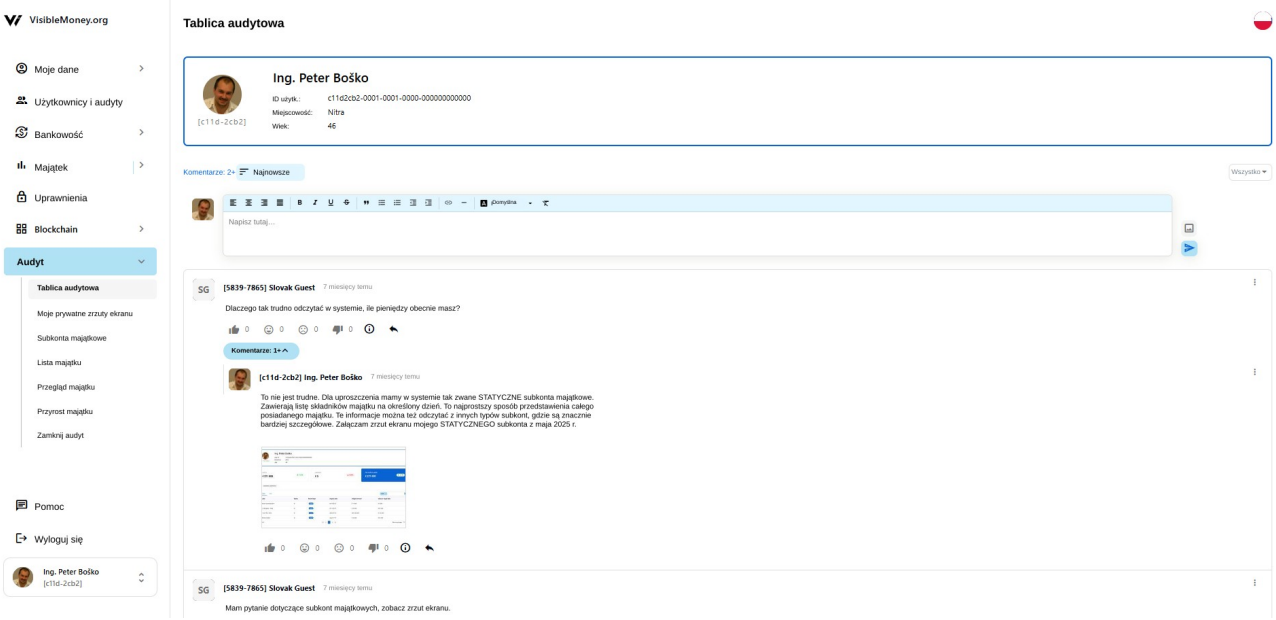

Tablica audytowa w aplikacji

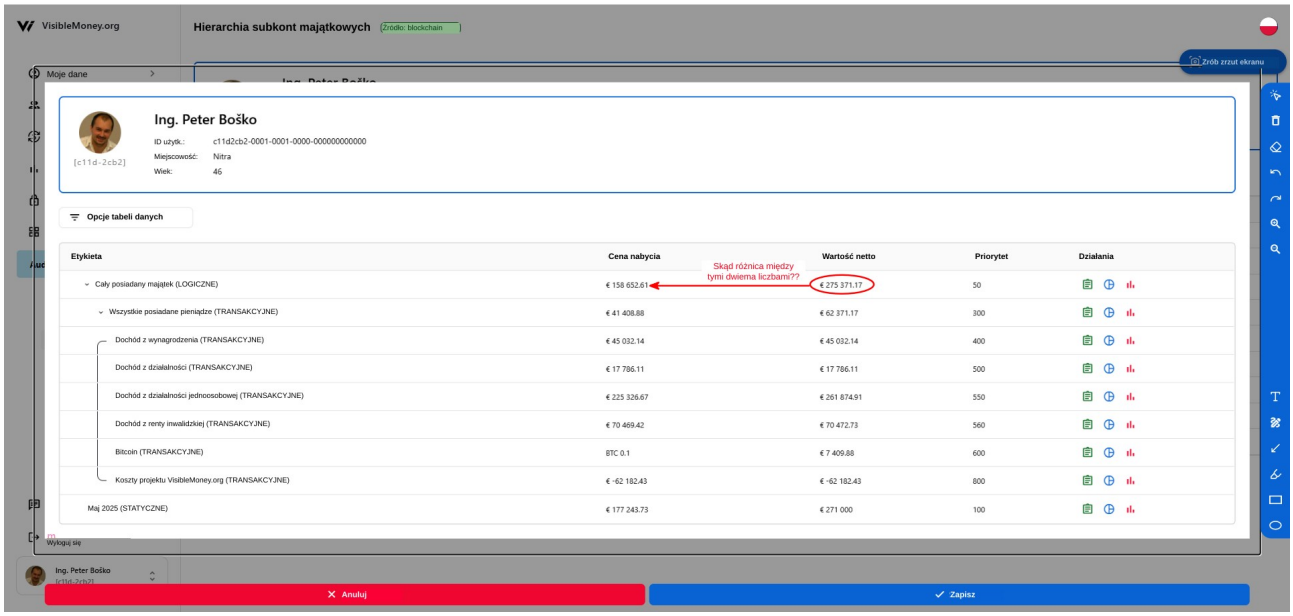

Moduł audytowy aplikacji umożliwiający komentowanie poszczególnych danych

29 Funkcje projektu oparte na blockchainie

Od samego początku projekt powstaje z wykorzystaniem technologii i zabezpieczeń, które pozwoliłyby mu potencjalnie pełnić funkcję centralnego systemu rozliczeniowego społeczeństwa, opisanego przez Walscha w jego książce. Rolą blockchainu jest zagwarantowanie autentyczności danych i zapewnienie, że nie dojdzie do sytuacji, w której ktoś po prostu usunie lub zmieni jakieś dane bezpośrednio w bazie. Blockchain jest bowiem technologią bazy danych, w której raz zapisane informacje pozostają na zawsze, jak wykute w kamieniu. Technicznie niemożliwe jest wprowadzenie w blockchainie zmian z mocą wsteczną bez naruszenia integralności danych. Jeśli coś takiego jednak się wydarzy, zostanie wykryte przy pierwszej kontroli.

Wszystkie ważne dane w systemie trafiają więc do podsystemu blockchainowego wkrótce po ich powstaniu. Każda informacja jest w nim przekształcana w postać tekstową, czyli reprezentację danych w formacie JSON. Następnie do blockchainu trafia wartość skrótu obliczonego z tego tekstu. Ponieważ trzeba zagwarantować możliwość usuwania danych zgodnie z GDPR, w blockchainie nie zapisuje się ich pełnej treści, lecz jedynie skróty SHA256. Jeśli użytkownik oświadczy, że chce opuścić projekt i zażąda nieodwracalnego usunięcia swoich danych, możemy to zrobić. Nie musimy przy tym ingerować w część blockchainową, ponieważ zawiera ona wyłącznie skróty wartości, a nie same wartości. Skróty są zaś bezwartościowe bez oryginalnych danych, z których zostały obliczone i które usuniemy.

O sposobie ewidencjonowania danych w systemie trzeba powiedzieć jeszcze jedno: każda aktualizacja w części blockchainowej polega na utworzeniu w bazie nowej wersji danego obiektu wraz ze znacznikiem czasu tej operacji. Załóżmy, że ktoś 1.1.2025 zapisuje w blockchainie informację, iż kupił samochód za 50 000 EUR, a po pół roku zmienia cenę zakupu na 80 000 EUR. Użytkownik przeprowadzający audyt będzie mógł zobaczyć obie wartości. Jeśli wykona audyt na migawce utworzonej na dzień 1.1.2025, zobaczy 50 000, a jeśli na dzień 1.6.2025 – 80 000 EUR. Wprowadzając dane, trzeba pamiętać, że to, co raz trafi do blockchainu, pozostaje w nim na zawsze.

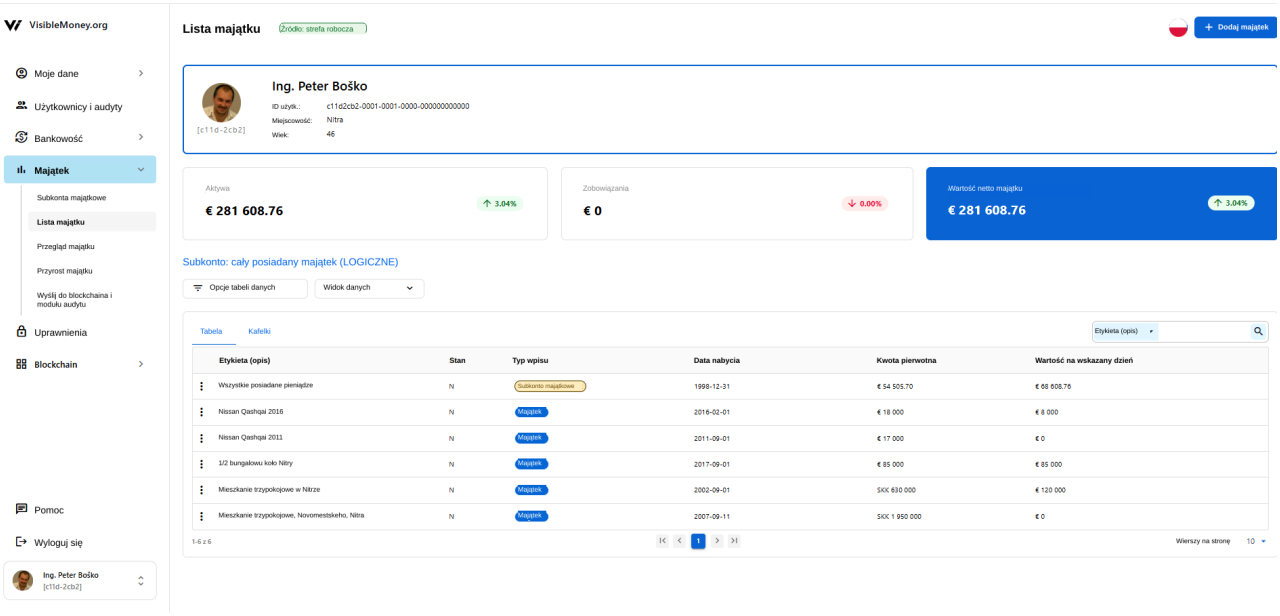

Ekran listy składników majątku

30 Zabezpieczenie projektu przed wszelkimi nadużyciami, zanim stanie się podstawą funkcjonowania społeczeństwa

Jeżeli projekt sprawdzi się na tyle, że oparcie na nim całego funkcjonowania społeczeństwa wyda się rozsądnym krokiem, światowa czołówka specjalistów od bezpieczeństwa informatycznego będzie musiała ponownie ocenić całościowe podejście do niego. Od sposobu rozwijania projektu, przez zasady dostępu do danych dla pracowników zaplecza administracyjnego, aż po sposób, w jaki programiści używają klienta SQL do badania problemów w bazie produkcyjnej.

Musi obowiązywać zasada, że każdy wgląd w dane jest rejestrowany na poziomie systemowym, a rejestrowania tego nie można wyłączyć. Niezależnie od tego, czy chodzi o audyt z wykorzystaniem funkcji aplikacji, przeglądanie danych przez pracownika zaplecza administracyjnego, czy polecenie wykonane w kliencie SQL na bazie produkcyjnej. Właściciel danych musi mieć możliwość dowiedzenia się za pośrednictwem aplikacji o każdym takim dostępie.

Procedury dotyczące choćby diagnozowania i usuwania błędów w aplikacji będą musiały obejmować takie kroki jak anonimizacja danych pobieranych w tym celu ze środowiska produkcyjnego. Wraz z zespołem pracuję nad aplikacją, która pozwoli wyeksportować dane konkretnego użytkownika z jednej bazy, a następnie zaimportować je na przykład do środowiska testowego, aby odtworzyć stan środowiska produkcyjnego. Takie narzędzie musi mieć bardzo rozbudowane mechanizmy anonimizacji pobranych danych. Przenoszeniem ich do środowiska testowego będzie prawdopodobnie musiał zajmować się specjalny zespół, działający według jasno określonych procedur.

Obecnie nie jestem na tyle biegły w bezpieczeństwie informatycznym, by od ręki, jak z rękawa, wyciągnąć gotową odpowiedź na pytanie, jak zabezpieczyć każdy element. Właśnie dlatego piszę, że taki przegląd bezpieczeństwa projektu muszą przeprowadzić specjaliści. Zaproponowane środki powinny następnie zostać ocenione przez innych ekspertów i dopracowywane w kolejnych iteracjach, aż wszyscy zgodzą się, że zabezpieczenia są wystarczające także dla przedsięwzięcia o takiej wadze.

Zlekceważenie tego kroku może doprowadzić do katastrofy o biblijnych rozmiarach. Dlatego bezwzględnie trzeba dążyć do porozumienia w sprawie poziomu zabezpieczeń i pod żadnym pozorem niczego nie bagatelizować. Bezpieczeństwo projektu powinno być nieustannie monitorowane i oceniane, tak aby uwzględniało najnowsze osiągnięcia informatyki i aktualny stan ludzkiej wiedzy.

Rejestry dostępu do systemu powinny być regularnie kontrolowane, a zasadność powodów, dla których przeglądano dane – weryfikowana. Prawdopodobnie przed każdym uzyskaniem wglądu konieczne będzie przejście jakiejś formalnej procedury, która taki dostęp uprawomocni.

Stworzenie szczelnych procedur i zasad pracy z danymi produkcyjnymi z pewnością nie będzie łatwe. Nie wątpię jednak, że kiedy zajmą się tym właściwi ludzie, zaczną dziać się cuda. Skoro jeden człowiek potrafił wymyślić i zrealizować coś takiego jak Bitcoin, to dla najlepszych specjalistów zadanie to będzie w porównaniu ze stworzeniem zdecentralizowanej kryptowaluty dziecinnie proste.

Jeśli chodzi o bezpieczeństwo technologii blockchain po ewentualnym pojawieniu się komputerów kwantowych, które być może potrafiłyby obliczyć, jak powinny wyglądać dane, aby dawały określony skrót, moim zdaniem problem ten będzie można łatwo rozwiązać za pomocą wielu skrótów dla danych,

które chcemy zabezpieczyć. Zamiast jednego przechowywałoby się na przykład trzy: dla wartości Peter pierwszy skrót obliczano by z ciągu Peter, drugi z ciągu Peter1, a trzeci z ciągu Peter2. Komputer kwantowy może zdołałby ustalić, jak zmienić dane wejściowe, aby pierwszy skrót był taki sam jak dla ciągu Peter, ale nie znalazłby już sposobu zmiany ciągu, który pozwoliłby uzyskać równocześnie zgodność ze skrótami dla Peter i Peter1, ponieważ taka kombinacja prawdopodobnie w ogóle nie istnieje. Zapewne można dokładnie obliczyć, ile skrótów potrzeba, aby zawsze niezawodnie wyczerpać zbiór realnych możliwości i sprawić, że odpowiednie kombinacje skrótów staną się niemożliwe, bo po prostu nie będą istnieć.

31 Wybory prezydenckie

Na początku 2023 roku postanowiłem wykorzystać szansę, jaką stwarzały zaplanowane na Słowacji wybory: prezydenckie w lutym 2024 i do Parlamentu Europejskiego w czerwcu 2024. Nie miałem szans ukończyć projektu przed wyborami parlamentarnymi jesienią 2023 roku, również dlatego, że były one niespodziewane – przedterminowe.

Miałem nadzieję, że uda mi się przekonać jakichś uczciwych kandydatów na prezydenta do opublikowania w aplikacji danych o swoim majątku. W pracy trwały akurat zmiany w projektach, a ponieważ firma miała trudności ze znalezieniem dla mnie kolejnego zajęcia, zaproponowałem, że wezmę półroczny urlop bezpłatny, aby dokończyć projekt Viditeľné peniaze i przygotować go na wybory prezydenckie.

Z biznesowego punktu widzenia wybory prezydenckie skończyły się dla mnie źle. Nikogo nie przekonałem do zarejestrowania się w systemie i ujawnienia danych o majątku. Przez pewien czas rozmawiał ze mną ktoś, kto był chyba asystentem Ivana Korčoka, ale ostatecznie sprawa rozeszła się po kościach. Może zresztą dobrze się stało, bo aplikacja miała wówczas nieatrakcyjną szatę graficzną, a jej funkcje również pozostawiały wiele do życzenia. W zasadzie dało się sporządzać jedynie statyczne oświadczenia majątkowe, czyli opisywać stan posiadania na określony moment.

Po miesiącach przerwy nadszedł czas powrotu do pracy dla Włochów. Okazało się jednak, że w projektach zaszły zmiany i mimo wcześniejszych ustaleń nie mieli dla mnie zajęcia. Musiałem więc zacząć szukać pracy gdzie indziej. Po mniej więcej pół roku poszukiwań udało mi się zatrudnić w innej międzynarodowej korporacji przy systemie bankowym, również jako starszy programista Oracle, specjalista od baz danych.

Za to w samym projekcie nastąpił ogromny postęp. Znalazłem zdolną graficzkę, która nadała systemowi bardziej ludzką twarz. Wreszcie wyglądał tak, jak powinien. Wprowadziłem również zmiany funkcjonalne umożliwiające dokładniejsze ewidencjonowanie majątku i sporządzanie nie tylko statycznych, lecz także pogłębionych oświadczeń majątkowych. Można było z nich odczytać choćby to, ile ktoś zarobił na handlu nieruchomościami, których już nie posiadał. Doszła również możliwość rejestrowania transakcji kryptowalutowych oraz śledzenia w czasie zmian i spłat na przykład kredytu hipotecznego. W maju 2025 roku aplikacja osiągnęła wreszcie taki poziom, że naprawdę nie musiałem się jej wstydzić.

Jeśli chodzi o działania marketingowe, zacząłem spamować informacjami o istnieniu projektu i jego misji, między innymi posłów do Parlamentu Europejskiego. Parlament Europejski liczy, jak sądzę, ponad 700 członków. Spośród adresatów 700 wysłanych e-maili w link do strony kliknęło około 6 europosłów. Dwaj asystenci europosłów nawet coś mi odpisali. O jednym z tych ludzi przeczytałem, że ma prorosyjskie skłonności – z kimś takim nie chciałem mieć nic wspólnego. W drugim przypadku czeski europoseł życzył mi powodzenia w projekcie, lecz kiedy zachęciłem go do sporządzenia w systemie oświadczenia majątkowego, kontakt się urwał.

32 Ambicje polityczne

Zaczynało do mnie docierać, że projekt nie ma szans się rozwijać, jeśli sam nie dam przykładu i nie pokażę innym, jak naprawdę uczciwie uprawiać politykę: kierując się zwykłym, zdrowym rozsądkiem, przy pełnej przejrzystości i – co wcale nie mniej ważne – w skali globalnej.

Postanowiłem więc, że przynajmniej na razie nieformalnie założę partię polityczną opartą na tych trzech filarach.

Pierwszy filar – zdrowy rozsądek

Pierwszy filar znajduje wyraz w dokumencie opisującym podejście nowej partii do poszczególnych aktualnych kwestii społecznych. Nad niektórymi zapisanymi tam sprawami zastanawiałem się przez całe życie. Starałem się zawrzeć w tych tezach całą mądrość, jaką kiedykolwiek udało mi się przyswoić. Nie sądzę, by można było podejść do tych zagadnień rozsądniej, niż opisano w tym dokumencie. Uwzględniam w nim choćby fakt, że istnieją kwestie, których zwykły śmiertelnik bez odpowiedniego zaplecza po prostu nie ma szans trafnie rozstrzygnąć. Dlatego proponuję powołanie ogólnoświatowej rady zajmującej się trudnymi na pierwszy rzut oka do rozwiązania problemami etycznymi ludzkiego współżycia. Jej stanowiska powinny być wiążące dla wszystkich rządów na świecie. Jeśli bowiem taka rada osiągnie w jakiejś sprawie porozumienie, jej ocena będzie znacznie bardziej kompetentna, poparta całym autorytetem i środkami, którymi będzie dysponować, a ponadto bezstronna, obiektywna i wolna od populizmu. Sam zwróciłbym się do takiej rady na przykład z pytaniem, czy i pod jakimi warunkami osoby o innej orientacji seksualnej powinny móc adoptować dziecko.

Żaden polityk nie może przecież rozsądnie rozstrzygnąć takiej sprawy zza biurka. Opracowanie zasad określających, kiedy i w jakich okolicznościach zezwalać parom jednopłciowym na adopcję dziecka lub jej odmawiać, wymaga dogłębnego zbadania wielu przypadków, zarówno udanych, jak i nieudanych adopcji. Dopiero po przeanalizowaniu licznych sukcesów i porażek można stworzyć zasady postępowania w określonych sytuacjach. Procedura taka może obejmować ocenę psychologiczną i seksuologiczną przyszłych rodziców, a także rozmaite długotrwałe działania, które niekoniecznie będą dla wnioskodawców przyjemne. Jeśli jednak zamiar stworzenia przez taką parę niemal pełnowartościowej rodziny jest szczery i poważny, nie będzie ona miała problemu z poddaniem się tej procedurze. To, że jakiś polityk, siedząc za biurkiem, arbitralnie orzeka, iż ktoś nie ma prawa do pełnowartościowej rodziny wyłącznie ze względu na orientację seksualną, jest przejawem prymitywnego uproszczenia i populizmu, na które nie ma miejsca we współczesnym społeczeństwie.

Kolejnym przykładem nieszablonowego podejścia jest stosunek do migrantów i migracji. Uważam, że szczęście, jakim jest urodzenie się w rozwiniętej części świata, wiąże się nie tylko z prawami, lecz także z obowiązkami. Należy do nich wyciągnięcie z własnej wygodnej pozycji pomocnej dłoni do innej istoty, kiedy tego potrzebuje. Problemy związane z migrantami, takie jak ich trudności z integracją, będzie można łatwo rozwiązać dzięki projektowi Viditeľné peniaze. Migrant jest w nowym kraju gościem i musi przestrzegać zasad swojego nowego domu. W przeciwnym razie kraj przyjmujący zastrzega sobie prawo do odmowy jego przyjęcia. Jedną z takich zasad może być na przykład wymóg podlegania przez migrantów najsurowszemu poziomowi przejrzystości finansowej w systemie Viditeľné peniaze. Oznaczałoby to, że

wszystkie transakcje ekonomiczne takiej osoby znajdowałyby się pod baczną obserwacją otoczenia. Gdyby kupiła wiatrówkę do strzelania do wróbli, otoczenie podniosłoby alarm i musiałaby się tłumaczyć. Migranci objęci takimi zasadami byliby najlepszymi migrantami na świecie.

Inne argumenty przemawiające za migracją, takie jak spadek liczby ludności, są powszechnie znane. Nie zamierzam się jednak nimi zasłaniać, ponieważ sądzę, że nasza planeta, zwłaszcza kiedy nauka rozwiąże problem ludzkiej nieśmiertelności, stanie wobec zjawiska przeciwnego niż spadek populacji. Jeśli ludzie nie będą umierali ani wskutek chorób, ani ze starości, Ziemia będzie musiała zmierzyć się z przeludnieniem, a nie z niedoborem ludzi.

Drugi filar partii politycznej – pełna przejrzystość

Drugi filar, czyli pełna przejrzystość, będzie w dużej mierze opierał się na projekcie Viditeľné peniaze. Każdy członek nowej partii będzie bowiem musiał sporządzić w nim pogłębione oświadczenie majątkowe, zweryfikowane albo przez ogół społeczeństwa, albo przynajmniej przez wiarygodne otoczenie polityka. Uważam, że jeśli projekt się sprawdzi, należałoby rozważyć wprowadzenie przepisów zobowiązujących polityków pełniących funkcje publiczne do aktualizowania w nim danych o swoim majątku. Co więcej, powinni oni uczestniczyć w projekcie dożywotnio, a więc również po odejściu z polityki, aby można było dostrzec ewentualne nieprawidłowe przepływy majątkowe, nawet jeśli nastąpią dopiero później. Długofalowym celem projektu jest udział wszystkich ludzi, nie tylko polityków. Dopiero wtedy bowiem jego działanie ujawni się w pełni. Coś takiego jednak, przynajmniej początkowo, nie spotka się ze zrozumieniem wielu osób. Najpierw trzeba będzie sprawdzić pozytywne skutki projektu. Oczywistymi pierwszymi uczestnikami takiej próby są politycy i osoby utrzymywane z pieniędzy publicznych, ponieważ to w ich przypadku możliwość wykazania niepodatności na korupcję jest najważniejsza. Jest jasne, że na początku projekt będzie miał wiele usterek i niedociągnięć, ale właśnie po to – mam nadzieję – będzie mój zespół, by usuwać braki i rozwijać przedsięwzięcie w pożądanym kierunku.

Trzeci filar – globalny zasięg

Skoro handel i życie gospodarcze na naszej planecie uległy globalizacji, czas, by stało się tak również z polityką. To wstyd, że w epoce, w której ludzkość zdołała zdigitalizować procesy poznawcze, tworząc sztuczną inteligencję, nadal nie mamy formalnej reprezentacji politycznej planety jako całości. Organizacja Narodów Zjednoczonych nie ma praktycznie żadnych rzeczywistych uprawnień politycznych, a wskutek jej bezsilności politycy w poszczególnych krajach robią, co chcą. To zawstydzające, że w XXI wieku wciąż istnieją wojny między narodami lub grupami ludności.

Nowoczesna siła polityczna dążąca do zjednoczenia ludzkości powinna działać na zasadach podobnych do globalnych firm, takich jak McDonald's. Tak jak w centrali McDonald's opracowuje się produkty sprzedawane później na całym świecie, tak i globalna partia polityczna powinna mieć centralę, w której powstawałyby najlepsze możliwe produkty polityczne. Każdy aktualny problem wymagający rozstrzygnięcia taka centrala brałaby na warsztat i opracowywała najlepsze możliwe rozwiązanie – rozsądne, rzeczowe i zdecydowanie wolne od populizmu. Ponieważ lokalnych polityków tej partii w poszczególnych krajach wiązałoby stanowisko centrali, ograniczyłoby to pokusę populizmu i niepożądanej improwizacji. Jeśli na świecie istnieje jakiś problem, nad jego rozwiązaniem powinien

zasiąść zespół najlepszych specjalistów w danej dziedzinie i ustalić, jak należy postąpić. Zawsze powinien proponować najrozsądniejsze możliwe rozwiązanie, wiążące dla lokalnych polityków. Pozwoliłoby to uniknąć zbędnego odkrywania koła na nowo: na poziomie lokalnym po prostu przejmowano by z centrali gotowe sposoby działania. A opracowywałyby je najtęższe umysły na świecie zajmujące się daną dziedziną. Bez niepożądanego populizmu i zawsze w zgodzie ze zdrowym rozsądkiem.

Później, gdy powstaną wystarczająco rozbudowane struktury lokalnych partii, wypracowywanie wspólnego stanowiska zostanie przeniesione z centrali do swego rodzaju rady wewnątrzpartyjnej, złożonej z czołowych przedstawicieli poszczególnych lokalnych oddziałów. Będzie ona czymś w rodzaju mózgu wewnątrz mózgu planety.

Taki sposób funkcjonowania świata jest moim zdaniem tym, co nazywa się Nowym porządkiem świata. W teoriach spiskowych przedstawia się go jako mroczną dyktaturę, której celem jest zniewolenie ludzkości. Sądzę jednak, że prawda jest dokładnie odwrotna. Nowy porządek świata to w rzeczywistości nowy sposób funkcjonowania ludzkości w wymiarze gospodarczym, społecznym i politycznym. Taki, w którym kluczem do uczciwego i sprawiedliwego współistnienia jest system społeczny oparty na fundamentach demokracji liberalnej i wzbogacony o niemal pełną przejrzystość przepływów finansowych i majątkowych. Uważam, że taka zmiana organizacji świata jest niezbędna, aby ludzkość również w epoce dzisiejszych technologii mogła względnie bezpiecznie się rozwijać i iść naprzód.

33 Fragmenty osobistego bloga

Diebus solitudinis

Dni samotności, czyli Nothing else matters.

Gdy jasność własnych myśli każe Ci działać jasno.

Gdy sam jesteś jak lewa noga, wiesz, że gdzieś jest i prawa.

Jesteśmy ludźmi na brzegu rzeki – czy wiedzą to już od wieków?

Rzeka przecież musi mieć dwa brzegi. Chętnie wejdę w nią nagi.

Wróćmy do czasu, gdy matka matki ochrzciła. I życie wiarą uświęciła.

W świątyni za ogrom tej straty, w głębi duszy nie zapłacę bez odpłaty.

Przenikliwa jasność tych wersów wplecie w serce źródło wody żywej.

W imię Ojca, Ducha, Syna – kryształowym okiem prawdę chwyta.

W tym zwierciadle tak przejrzystym obrazy niechybnie przemieniają się w życie.

I tak również Ty w tej chwili stałeś się żywy.

Katka Knechtová – Spomaľ – osobliwy dialog

Ona: Za czymś baśniowym, do ogrodów, w których nie ma krzyża.

Dokąd tak szaleńczo pędzisz? Nie nadążam za Tobą.

Zwolnij – pędzisz zbyt szybko, czuję to tylko szóstym zmysłem.

Kręci mi się w głowie.

Spieszę się u twego boku i mam już dosyć niepotrzebnych mandatów.

Czy mam się bać?

On: Nie, moja miła, naprawdę nie musisz się bać.

Choć odrobina lęku może nie zaszkodzi.

Coś przepięknego właśnie się rodzi.

Kraina, a może raczej świat cały, gdzie nie ma już żadnej boleści.

Świat, w którym człowiek swobodnie oddycha.

Świat, w którym człowiek jest wiecznie młody.

Świat, w którym człowiek robi to, co naprawdę lubi.

Jeden komponuje, drugi rozdaje lody na rynku.

Trzeci poświęca życie wychowaniu swoich dzieci.

By lepiej czuć, jak ten czas leci.

Musi tylko przyrzec przed ołtarzem, że z ich matką będzie wzorową parą, aż dzieci wkroczą w dorosłość.

Świat, w którym wartości nie mierzy się już pieniędzmi, świat, w którym ludzkiego szczęścia strzeże się uczciwie.

Gdzie nie ma już żadnej choroby, gdzie ludzkość wyzwoli się z niewoli.

Świat, w którym nie ma już niedostatku, gdzie człowiek poświęca siły tylko sprawom, w których naprawdę jest miłość —

rodzinie, szczęściu, wierze i tym, które nadają mu sens.

3 fundamentalne wyzwania współczesnej ludzkości i moja odpowiedź na nie

3 wyzwania naszych czasów, którym postanowiłem poświęcić energię. Od zmiany zasad funkcjonowania społeczeństwa, przez życie wieczne, aż po postęp w ontologii bytu.

Wyzwanie numer 1 – Niewielka zmiana zasad funkcjonowania społeczeństwa, mająca ogromny wpływ na sprawność ludzkiego współistnienia – wprowadzenie widocznych pieniędzy

Z zawodu jestem programistą. W programowaniu dość często zdarza się, że po stworzeniu dla klienta określonej funkcji, kiedy wszystko działa już tak, jak powinno, jeszcze raz zastanawiamy się nad całym zagadnieniem. Tym razem jednak dysponujemy doświadczeniem, którego nie mieliśmy na początku, i jeśli okoliczności pozwalają, programujemy całość od nowa – według znacznie bardziej przemyślanej koncepcji. Wiemy już bowiem, jakie problemy czekają nas po drodze, jakie wyjątki system musi umieć obsłużyć i tak dalej. Proces ten nazywa się refaktoryzacją. A taką refaktoryzację, obejmującą spojrzenie z dystansu na całe funkcjonowanie społeczeństwa, ostatnio przeprowadził Jezus Chrystus, 2000 lat temu. Minęło 2000 lat i w tym czasie nikt nie zastanowił się nad lepszym, bardziej spójnym sposobem działania ludzkiego społeczeństwa. Słowa Chrystusa: „Kto z was jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci w nią kamieniem" oraz „Wszystko, co chcecie, żeby ludzie wam czynili, i wy im czyńcie" stanowiły postęp w stosunku do Mojżeszowego dekalogu. Jednak od czasów Nazarejczyka zasady życia społecznego rozwijały się mniej więcej siłą rozpędu. Chcę powiedzieć, że być może po 2000 latach gromadzenia doświadczeń pora nabrać dystansu i spróbować zaprojektować lepszy sposób funkcjonowania ludzkiego społeczeństwa. Odpowiedź na pytanie, jak powinno ono wyglądać w trzecim tysiącleciu, po raz pierwszy dostrzegłem w książce amerykańskiego autora Neale'a Donalda Walscha „Rozmowy z Bogiem 2". Przeczytałem ją w połowie lat 90., kiedy na Słowacji szalał dziki mečiaryzm i trwała walka o właśnie prywatyzowany majątek. Cała idea jest w gruncie rzeczy bardzo prosta. Według autora w rozwiniętych społeczeństwach – takich, w których nikt nie chce niczego osiągać kosztem innych – pieniądze są po prostu w pełni przejrzyste i widoczne. Innymi słowy, każdy może się dowiedzieć i w dowolnej chwili sprawdzić, kto ma ile pieniędzy, jaki posiada majątek, jakie występują u niego przepływy finansowe i tak dalej. Jako informatyk zrozumiałem, że można by to zrealizować, wprowadzając system bankowy, który zawierałby takie informacje i potrafił je udostępniać, a zarazem byłby centralnym ośrodkiem rozliczeniowym całego społeczeństwa. Jeśli przychodzi Państwu do głowy tysiąc powodów, dla których Państwa zdaniem nie mogłoby to zadziałać, proszę najpierw zajrzeć na https://viditelnepeniaze.sk – omówiłem tam ten pomysł z każdej możliwej strony. Mogą też Państwo zapisać się na newsletter, podając swój adres e-mail. Newsletter jest dla mnie ważnym miernikiem tego, na ile udaje mi się docierać do społeczeństwa.

Podsumowując tę myśl: sądzę, że przejście całego społeczeństwa na przejrzysty system finansowy, w którym pieniądze, majątek i ich przepływy będą całkowicie widoczne, może nie tylko usprawnić funkcjonowanie ludzkości jako całości, ale wręcz okazać się koniecznością. Pozwoli bowiem wprowadzić mechanizmy kontroli w newralgicznych obszarach życia społecznego, których ochrona może mieć kluczowe znaczenie, a którymi klasyczny kapitalizm w ogóle się pod tym względem nie zajmuje. Najbardziej jaskrawy przykład, jaki przychodzi mi do głowy, to możliwość znacznie skuteczniejszego sprawdzania dzięki widocznym pieniądzom, co naprawdę robią choćby laboratoria biologiczne zdolne wyhodować nowego śmiertelnego wirusa.

Wyzwanie numer 2 – Postęp medycyny pozwalający leczyć wszystkie choroby, a nawet starość – osiągnięcie życia wiecznego

Moim zdaniem największą szansą biznesową naszych czasów nie są autonomiczne samochody elektryczne, lecz coś, co odpowiada na potrzeby każdego człowieka w sposób znacznie bardziej osobisty i intymny niż jakiś efektowny materialny gadżet. Postęp wszystkich nauk oświetla bowiem drogę ku czemuś, co prędzej czy później stanie się rzeczywistością. Mam na myśli postęp medycyny. Nie chodzi jednak wyłącznie o leczenie chorób. Od umiejętności wyleczenia każdej choroby pozostaje już tylko mały krok do odwracania procesów biologicznych w ludzkim ciele, czyli do zatrzymania starzenia, a nawet cofnięcia wskazówek ludzkiego zegara biologicznego.

Jako informatyk widzę w rozwiązaniu tego problemu, dotyczącego każdego człowieka, olbrzymie pole do zastosowania technologii informatycznych. Problemem medycyny jest bowiem sprzężenie zwrotne. Lekarz nigdy nie potrafi powiedzieć Państwu ze 100 % pewnością, jak Państwa organizm rzeczywiście zareaguje na dany lek. Tym bardziej nie wie, jakie skutki uboczne wystąpią, jeśli będą Państwo przyjmować go bez przerwy przez 10 lat. Komputerowe modele ciała mogłyby rozwiązać ten problem. Taki model jest systemem zdolnym obliczyć, jak określona część organizmu zachowa się w danych warunkach zewnętrznych. Wirtualizacja ludzkiego ciała stanie się świętym Graalem medycyny. Dzięki możliwości sprawdzenia, jak ciało zareaguje na rozmaite substancje chemiczne czy metody leczenia, lekarze otrzymają narzędzie pozwalające w pełni kontrolować każdą komórkę ludzkiego organizmu.

Każdy człowiek żywo interesuje się własnym zdrowiem, a każdy postęp w tej dziedzinie zostanie nagrodzony olbrzymim sukcesem biznesowym. Możliwe nawet, że ogólną sztuczną inteligencję szybciej uda się osiągnąć przez symulowanie chemii i procesów zachodzących w ludzkim mózgu niż przez budowanie sztucznych sieci neuronowych.

Aby powiązać wniosek płynący z tego wyzwania z tytułem całego artykułu: myślę, że gdyby dzięki pierwszemu przedsięwzięciu udało mi się zarobić wystarczająco dużo, by sfinansować choćby kilkudziesięcioletnie badania związane z wyzwaniem drugim, można byłoby je urzeczywistnić. Rozumiem, że zdolni przedsiębiorcy skorzystają z tej szansy niezależnie ode mnie. Gdybym jednak podszedł do sprawy systematycznie, nie tracąc celu z oczu, z pewnością dałoby się skrócić cały proces o kilka lat. Dla ludzi z mojego pokolenia może to oznaczać różnicę między życiem a śmiercią. Poprawka: między życiem wiecznym a śmiercią.

Sądzę, że cały pomysł można zrealizować w ciągu 20 lat, w sposób podobny do odczytania ludzkiego genomu. Na przełomie tysiącleci koszt odczytania genomu jednej osoby szacowano na miliard dolarów. 20

lat później komercyjne sekwencjonowanie wykonuje się za 1000 euro. Opisywane przeze mnie zadanie jest wprawdzie o rząd wielkości trudniejsze, ale można się nim zająć, korzystając z technologii nowszych o 20 lat.

Wyzwanie numer 3 – Postęp w ontologii bytu – uzyskanie 100 % dowodu, że świat zewnętrzny i otaczający mnie ludzie są równie rzeczywiści jak ja – rozwiązanie problemu samotności

To wyzwanie dotyczy cechy życia i istnienia, którą uważam zarazem za największe przekleństwo i największe błogosławieństwo człowieka oraz bytu jako takiego. Podejrzewam, że niewielu ludzi zrozumie ten akapit. Większość moich rówieśników ma ręce pełne roboty, troszcząc się o zależnych od nich bliskich – mam na myśli rodzicielstwo. Człowiek pochłonięty takimi obowiązkami pod koniec dnia cieszy się, że w ogóle jakoś sobie poradził, a podobne rozważania o nieśmiertelności chrabąszcza wydają mu się bezsensowne i zbędne. Sytuacja zmieni się jednak radykalnie, jeśli naprawdę uda się osiągnąć cel z punktu drugiego i ludzie będą żyli bez ograniczeń czasowych. Dzieci dorosną i odejdą; możliwe nawet, że ze względu na ograniczone zasoby planety nie będzie można mieć ich dowolnej liczby, jak obecnie. Po zakończeniu początkowego etapu życia ludzie będą decydować się na kolejne dzieci tylko wyjątkowo. Zyskają więcej czasu na introspekcję i przyglądanie się własnemu wnętrzu.

Ponieważ ta część artykułu jest zapewne bardzo osobista, wypada chyba przedstawić moją sytuację. Mam 42 lata, wskutek stwardnienia rozsianego jestem przykuty do wózka inwalidzkiego, a choroba prawdopodobnie nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa. W takich okolicznościach musiałbym być trochę szalony, żeby zdobyć się na odwagę założenia rodziny. Chcę wyjaśnić, że moja sytuacja jest dość szczególna i być może zastanawiam się nad sprawami, ku którym ludzka myśl zazwyczaj się nie zapuszcza.

Niewiele jest rzeczy, co do których człowiek ma absolutną, 100 % pewność. Do tego uprzywilejowanego zbioru należy stwierdzenie René Descartes'a: „Myślę, więc jestem". Jeśli bowiem obowiązują podstawowe prawa logiki, z faktu, którego człowiek właśnie doświadcza – czyli z tego, że myśli – nieuchronnie wynika, że musi być rzeczywistym bytem, skoro wytwarza myśli. Ogromna większość pozostałych spraw w życiu jest o całe mile odległa od pewności, jaką mamy co do własnego istnienia. Ludzkie postrzeganie i rzeczywistość mogą być od siebie tak odległe jak doznania człowieka widzącego jedynie cienie w słynnej jaskini Platona od prawdziwego świata. O otoczeniu możemy wiedzieć tylko tyle, ile przekażą nam zmysły. Jeśli w Państwa postrzeganiu jest jakiś błąd – na przykład są Państwo daltonistami – nigdy nie zrozumieją Państwo, jak widzą świat zdrowi ludzie. Teoretycznie świat zewnętrzny wcale nie musi być rzeczywisty; wystarczy, że takim jawi się Państwa zmysłom. Innymi słowy, człowiek nie ma żadnego dowodu na istnienie swojego otoczenia. Wszystko wokół może być nierzeczywiste – wystarczy, że zmysły nieustannie go zwodzą. Sądzę, że największym jakościowym skokiem w postrzeganiu, jakiego człowiek mógłby doświadczyć, byłoby uzyskanie pewności równie mocnej jak wiedza o własnym istnieniu: pewności, że to, na czym zależy mu w świecie zewnętrznym, jest naprawdę tak samo rzeczywiste jak on sam. Jeśli kiedyś uda mi się zdobyć taką pewność dotyczącą świata zewnętrznego, po prostu usiądę i będę płakał z ulgi przez trzy dni. To niezwykle przerażające i przygnębiające, że nie mamy żadnej pewności nawet co do istnienia tego, na czym zależy nam najbardziej.

Na początku tego wyzwania napisałem, że brak pewności co do otoczenia jest nie tylko naszym największym przekleństwem, ale także błogosławieństwem. Błogosławieństwem dlatego, że postęp nauki

w tej kwestii może doprowadzić nas do punktu, w którym możliwe stanie się, że tak powiem, zawłaszczanie tożsamości umysłów. Dzisiaj żaden miliarder nie zje miliarda hamburgerów i nie odniesie z tego takiej korzyści jak łącznie miliard ludzi, z których każdy zjadł jednego hamburgera. Jeśli będzie można niejako zawłaszczyć cudzy umysł i dzięki temu zyskać pewność, że drugi człowiek jest równie rzeczywisty jak my sami, być może stanie się też możliwe łączne doświadczanie przyjemności ludzi, których umysły zawłaszczyliśmy. Dlatego taki postęp naukowy może okazać się bronią obosieczną.

Zakończenie

Opisałem trzy wyzwania, którym postanowiłem poświęcić energię, jeśli wystarczy mi trochę sił i woli. Nad pierwszym pracuję w myślach, niejako w tle, już od połowy lat 90. Konkretne działania na rzecz wprowadzenia widocznych pieniędzy podjąłem mniej więcej rok temu, zakładając stronę internetową poświęconą tej idei i rozpoczynając tworzenie oprogramowania, na którym taki system mógłby działać. Drugie wyzwanie wiąże się z potencjalnym sukcesem pierwszego. Jeśli pierwsze przedsięwzięcie pozwoli mi osiągnąć finansowy sukces, zainwestuję odpowiednią część dostępnych środków w rozwój komputerowych modeli ludzkiego ciała.

Trzecie wyzwanie jest jedynym, w którym na razie nie widać światła na końcu tunelu. Zależy od postępu naukowego, którego nie da się przewidzieć: może być tuż za rogiem, a może nadejść dopiero w perspektywie tysiącleci. Podobnie jednak człowiek XVIII wieku oceniałby możliwości dzisiejszych telefonów komórkowych i internetu.

Jak działa karma

Aby zrozumieć, jak pewne rzeczy w życiu funkcjonują, trzeba moim zdaniem przede wszystkim pojąć działanie karmy. Nie jest tak, że na chmurce w niebie siedzi staruszek i zapisuje w notesie, kto, kiedy i co dobrego lub złego zrobił innym, a potem przy nadarzających się okazjach karze ludzi stosownie do ich dawnych uczynków.

Sądzę raczej, że również w tym życiowym mechanizmie bumerangu znacznie większą rolę odgrywa nasza perspektywa pierwszej osoby. To my sami i nasza świadomość doskonale wiemy, kiedy i co dobrego lub złego komuś zrobiliśmy. Jeśli bilans jest ujemny, nasza podświadomość przyciąga do życia złe rzeczy – i odwrotnie.

Jeśli w życiu wydarzy się coś negatywnego – na przykład ktoś podda się przerwaniu ciąży – przekonanie, że w chwili podejmowania decyzji jest się psychicznie pogodzonym z jej następstwami, może na dłuższą metę okazać się mylne i mieć katastrofalne skutki. Niezależnie od tego, czy pozbawienie życia ludzkiego płodu uznajemy za przewinienie równe zabiciu żywego człowieka, czy po prostu za niepociągające za sobą konsekwencji zakończenie istnienia bezkształtnej materii biologicznej, która inaczej zniszczyłaby nam życie, później możemy znaleźć się w sytuacjach zmieniających nasz punkt widzenia. Jest wręcz mało prawdopodobne, by do takiej zmiany nie doszło. Z określonej perspektywy aborcję można postrzegać jako zbrodnię wielokrotnie gorszą od zabicia innego człowieka. Można bowiem widzieć w niej zamordowanie własnego dziecka. Żeby było jasne, co chcę powiedzieć: sam fakt, że da się na nią spojrzeć jak na zabójstwo własnego dziecka, w zupełności wystarcza, by z nieomylną pewnością zniszczyła komuś życie. Znałem blisko cztery osoby, które zrobiły coś podobnego. Trzy z nich były tak sparaliżowane następstwami, że błędnie oceniały najprostsze sytuacje i zamieniały życie otoczenia w piekło. Taki człowiek ma jakby przed oczami olbrzymią barierę, która przesłania mu obiektywny obraz świata. Cokolwiek robi, przede wszystkim naznaczone jest tym, że w każdą sprawę wnosi całkowicie nieistotne elementy, których głównym celem jest w jakiś sposób usprawiedliwić przewinienie popełnione wobec życia.

Podsumowując: poddanie się czemuś takiemu jak aborcja może w zasadniczy sposób negatywnie wpłynąć na życie. Nawet jeśli z perspektywy danej chwili wydaje się dobrym, pragmatycznym wyborem, który ma zapobiec załamaniu życiowego komfortu. W ogromnej większości przypadków jest to pakt z diabłem, w którym człowiek niejako oddaje czyste sumienie w zamian za pozornie wygodne życie. Należałoby obowiązkowo i dogłębnie wyjaśniać to zwłaszcza młodym kobietom, które zamierzają poddać się takiemu zabiegowi. Skutecznym środkiem zapobiegawczym, uświadamiającym potencjalne skutki takiej decyzji, mógłby być na przykład obowiązek spędzenia pewnego czasu na szpitalnym oddziale noworodkowym. Jeżeli po tak dokładnym wyjaśnieniu możliwych skutków i po kontakcie z nowym życiem na oddziale noworodkowym kobieta nadal będzie obstawała przy swojej decyzji, zapewne jej powody są na tyle poważne, że należy je uszanować.

Rozważania o koniecznej skończoności wszechświata

Rozważaniom tym daleko do ścisłego dowodu, sądzę jednak, że podążając ich tokiem, można natrafić na rzeczy, o których warto wiedzieć.

Albert Einstein powiedział kiedyś, że wszechświat i ludzka głupota są nieskończone, choć co do tego pierwszego nie jest pewien. W tym artykule spróbuję przedstawić dowód na to, że w przypadku wszechświata Einstein się mylił.

Wyobraźmy sobie, że wszechświat naprawdę jest nieskończony. W dowolnym jego punkcie można byłoby zatem powiedzieć, że trylion trylionów lat świetlnych dalej istnieje planeta Ziemia 2, a na niej Peter Boško2. Gdyby nie istniała w odległości tryliona trylionów lat, mogłaby istnieć o trylion trylionów trylionów lat dalej. Gdyby wszechświat był nieskończony, nasze możliwości poszerzania obszaru poszukiwań Boška 2 również byłyby nieskończone, a zatem skazane na sukces. Na nieskończenie wiele sukcesów. Peter Boško 2 byłby jednak tak zaawansowany technologicznie, że potrafiłby z takiej odległości przesłać mi na rękę 500 EUR, gdybym właśnie ją wyciągnął. Widzą Państwo, do jakich absurdów dochodzimy? Opisywany przeze mnie Peter Boško 2 nie istnieje, ponieważ na mojej dłoni nie wylądował właśnie banknot o nominale 500 euro.

Aby postawić sprawę jasno, trzeba zaznaczyć, że dowód ten milcząco przyjmuje dwa założenia:

Za nieskończony uznaję taki wszechświat, w którym bez końca powtarza się rozmieszczenie materii znane nam z obserwowanej przez nas części widzialnego wszechświata. Rozmieszczenie to musi w nieskończoność pozostawać mniej więcej przypadkowe i umożliwiać istnienie galaktyk oraz układów gwiezdnych takich, jakie znamy. Jeśli jednak wszechświat przypomina ten, który obserwujemy, tylko do pewnej, choćby bardzo wielkiej odległości, a za tą granicą znajduje się na przykład już wyłącznie pusta przestrzeń, to taki wszechświat uznaję za skończony.

Zakładam, że przy dostatecznym rozwoju technologii fizycznie możliwe jest wywarcie jakiegoś materialnego wpływu na olbrzymią odległość, na przykład teleportowanie do mnie banknotu z dowolnego miejsca. Jeśli istnieje pierwszy Peter Boško 2, oddalony o 10^{100} lat świetlnych, lecz z powodu niedostatecznego zaawansowania technologicznego nie potrafi wysłać mi banknotu, nie ma to żadnego wpływu na mój dowód. Po prostu szukam następnego, który będzie już dysponował odpowiednią technologią. Do ważności mojego dowodu potrzebuję tylko tego, aby za pomocą jakiejś niezwykle rozwiniętej technologii fizycznie możliwe było przesłanie banknotu na dowolną odległość.

Wszechświat nie może być nieskończony, ponieważ element nieskończoności prowadzi do dających się wykazać absurdów, choćby w postaci przesłania banknotu, które – jak możemy stwierdzić – nie następuje. Banknot jest jednak tylko jednym z oczywiście niedorzecznych przykładów mających pokazać absurdalne konsekwencje nieskończonego wszechświata. W rzeczywistości zakres tego, co powinno się wydarzać, byłby znacznie szerszy. W zasadzie powinno dziać się wszystko, co przyjdzie mi do głowy, i wszystko, czego nawet nie pomyślę – nie tylko mnie, lecz w całym wszechświecie. Gdyby był nieskończony, wszędzie musiałoby dziać się wszystko, co może się zdarzyć. A to już definicja niebytu. I to on w rzeczywistości jest nieskończony.

Jedynym aspektem istnienia, który w pewnym sensie ma atrybut nieskończoności, jest fakt, że jestem świadomy samego siebie. Albo, jeśli Państwo wolą, że istoty obdarzone świadomością są świadome samych siebie. O nich jednak wiem to tylko pośrednio; o sobie – ze 100 % pewnością, ponieważ dzieje się to bezpośrednio w moim wnętrzu.

Ale o tym może innym razem

Architektura systemu Viditeľné peniaze (VP) – pierwszy przejrzysty system bankowy zabezpieczony blockchainem 1

Jakiś czas temu opublikowałem na blogu artykuł o tym, jak innowacje ze świata kryptowalut mogłyby zasadniczo zmienić sposób, w jaki ludzie odnoszą się do siebie. W skrócie chodzi o to, że gdyby również prywatne pieniądze i majątki były w społeczeństwie do pewnego stopnia przejrzyste, prawdopodobnie stopniowo prowadziłoby to do rozwiązania ogromnej większości problemów wynikających z odwiecznej walki ludzi o zasoby.

W dzisiejszym artykule chciałbym przyjrzeć się architekturze systemu, nad którym powoli pracuję i który spełniałby wymagania przejrzystego systemu rozliczeniowego dla całego społeczeństwa. Na początek potrzebne będzie krótkie techniczne wprowadzenie do świata kryptowalut.

Algorytm haszujący jako klucz do wykazania, że określone dane są dokładnie takie, jak zostały gdzieś zapisane, i z dużą pewnością nie są inne

W świecie informatyki, a zwłaszcza kryptowalut, kluczowym pojęciem jest tak zwany algorytm haszujący. Jego najczęściej stosowana wersja, SHA256, to algorytm, któremu podajemy na wejściu krótki tekst albo nawet plik wielkości kilku terabajtów, a on generuje dla tych danych ciąg o długości 64 znaków, wyglądający następująco:

Skrót SHA256 dla tekstu „Peter” ma na przykład taką wartość:

ea72c79594296e45b8c2a296644d988581f58cfac6601d122ed0a8bd7c02e8bf

Natomiast skrót SHA256 dla tekstu „Peter1” wygląda już tak:

c2a455a6fba64a8aa2dabed5d193a6bd89813376c02ae40b86f56af6473d4323

Jak widać, obie wartości zwrócone przez algorytm są zupełnie różne i w żaden sposób od siebie nie zależą. Funkcja skrótu wykorzystuje bowiem tak zwany efekt lawinowy. Zmiana jednego bitu ciągu wejściowego powoduje tak radykalną zmianę wyniku, że ostateczne wartości są całkowicie niezależne, choć mogły powstać z podobnych danych wejściowych. SHA256 działa jednakowo w całym świecie informatyki. Jeśli ktoś powie, że obliczył skrót SHA256 określonych danych, wynik powinien być taki sam również w zupełnie innym systemie operacyjnym czy języku programowania, ponieważ wszędzie stosuje się tę samą procedurę.

Haszowanie SHA256 ma ponadto tę właściwość, że jeśli podamy komuś wynik, na przykład wartość ea72c79594296e45b8c2a296644d988581f58cfac6601d122ed0a8bd7c02e8bf, i nie powiemy, że jest to skrót tekstu Peter, osoba ta nie będzie miała sposobu, by to ustalić. Jedyna możliwość to liczyć na to, że tekst wejściowy nie był zbyt długi i składał się na przykład wyłącznie ze znaków alfanumerycznych, a następnie zacząć próbować. Można zacząć od jednej litery „a", potem dodać do niej b – „ab" – i dla tak utworzonych danych wejściowych wywoływać funkcję SHA256, porównując wynik z otrzymaną wartością. Trzeba próbować do chwili znalezienia ciągu znaków dającego ten sam wynik. Innymi słowy, gdybyśmy obliczyli skrót następującego tekstu:

{

"account_from":"SK11 1100 0000 0000 2644 5963",

"account_to": "SK15 1100 0000 0000 2677 5968",

"amount": 5000,

"currency":"EUR"

}

(Przykład jest całkowicie zmyślony, łącznie z nieistniejącymi numerami rachunków)

Wynikiem byłaby wartość 7b4f22193ad7675da45be8d5e22f042b36cdc78c397f92dd572786dca61b326b. Gdyby ktoś chciał zmodyfikować tekst tak, by kwotę 5000 zastąpić kwotą 10000, mógłby to oczywiście zrobić, ale niezwykle trudno byłoby mu zmienić resztę treści transakcji tak, aby zawierała żądane 10000 zamiast 5000, a zarazem skrót całego tekstu pozostał niezmieniony. Po prostu dane, którymi nakarmi algorytm, będą inne, a znalezienie takiej zmiany treści transakcji, która mimo podmienionej kwoty dałaby pierwotny wynik funkcji skrótu, zajęłoby mu miliardy lat.

Tę właściwość funkcji skrótu wykorzystuje się następująco: jeżeli udostępnimy komuś tekst, który może pobrać z określonego miejsca, na przykład z bazy transakcji, i podamy wartość jego skrótu w chwili powstania, odbiorca może bardzo szybko sprawdzić, czy od tamtego czasu tekst się zmienił. Właśnie takie sprawdzenie traktuje się jako dowód, że dane pozostały niezmienione od momentu obliczenia skrótu.

Blockchain – funkcja skrótu na sterydach

To, co opiszę tutaj z zakresu blockchainu, stanowi mniej więcej 10 % rzeczywistej treści tego pojęcia. Do wyjaśnienia architektury VP w zupełności jednak wystarczy.

Stosunkowo niedługo po pojawieniu się Bitcoina zapanowała gorączka blockchainu. Powstawały firmy, które miały specjalizować się w jego zastosowaniach w rozmaitych obszarach informatyki, a konsultanci zaczęli dopisywać do nazw swoich stanowisk określenia w rodzaju Blockchain specialist i tym podobne. Ostatecznie poza Bitcoinem i kryptowalutami blockchain przyjął się w bardzo niewielkim stopniu. Słyszałem o jakichś zastosowaniach tam, gdzie istotne jest zachowanie informacji na zawsze, na przykład o tym, że dany pacjent przyjmował określony lek.

Na czym więc właściwie polega blockchain? Kryptowaluty rozwiązują problem pieniądza w wyjątkowy sposób: waluta nie istnieje w jednym scentralizowanym systemie, umieszczonym w określonym miejscu, lecz praktycznie wszędzie, gdzie działa choćby mały serwer obsługujący jej funkcje i połączony z internetem. Aby jednak waluta mogła funkcjonować bez jednego centralnego serwera, potrzebujemy czegoś, co na każdym z tych małych komputerów jest takie samo i aktualizuje się wraz z każdą transakcją dokonaną na dowolnym innym serwerze. Trzeba też umieć rozwiązywać takie problemy jak jednoczesne zlecenie na dwóch serwerach wysłania pewnej kwoty z tego samego konta lub portfela. Dochodzi do tego potrzeba wynagradzania operatorów niezliczonych małych serwerów, na których żyje nasza kryptowaluta, oraz inne kwestie. Blockchain jest właśnie tym elementem, który na tych serwerach wygląda mniej więcej tak samo i zawiera poszczególne transakcje w kryptowalucie. Składa się z bloków – stąd nazwa blockchain, czyli łańcuch bloków. Bloki z kolei składają się z transakcji dokonanych w danej kryptowalucie. Są zamykane w regularnych odstępach czasu, a w miarę napływania transakcji powstają kolejne. Zamknięcie bloku oznacza między innymi obliczenie skrótu tekstu takiego jak poniższy lub podobnego:

{

“previous_block_hash”:”42ca08014a7e842f8205d3979eb14a95c52bf9ffb41c6752efe7bb08114ba47e”,

“transaction1_hash“:“fe6bc43fff796742bbee6adebec349a38323aed2de40d848aa9ed1428a451942“,

“transaction2_hash“:“0965577d9c0f4316cf83d1be017627e0d180cc616ec9107ac497df84a4158f93“,

“transaction3_hash“:“b5069c628dd914cc5f04035ced89781c0eb8efb27aed068b0921201598244565“,

...

“transaction900_hash“:“ffd7236ababd2e21858c548f5a3c5bae1794fde4c358ebfef6dcf4bcf0bb5a05“

}

Skrót pełnej zawartości tego bloku, obejmującego 900 transakcji, miałby na przykład wartość „341cbef34adc7235eee22efde368502f670254b97123fecfcb78ba892e7250b0”. Przy tworzeniu następnego bloku wartość tę wpisano by w pole previous_block_hash. W ten sposób bloki zostają powiązane i tworzą umowny łańcuch. Każdy blok, poza pierwszym, zawiera pole previous_block_hash ze skrótem bloku poprzedniego. W pierwszym bloku blockchainu umieszcza się tam wartość taką jak tekst „GenesisBlock”, określający charakter bloku zerowego. Nie ma znaczenia, jaką wartość wpiszemy: wpłynie ona wprawdzie na wszystkie kolejne, lecz dla algorytmów będzie to obojętne, a dla człowieka skrót pozostaje po prostu skrótem.

Jak wspomniałem, nie będę w tym artykule szczegółowo analizował blockchainu. Po pierwsze, sam nie rozumiem do końca niektórych szczegółów działania choćby Bitcoina, a po drugie, nie jest to potrzebne do zrozumienia tego, co chcę opisać.

Pieniądze w systemach scentralizowanych, takich jak systemy bankowe, żyją w olbrzymiej bazie danych. Bank ma w niej na przykład listę klientów, a następnie tabelę ich rachunków. Przy każdym rachunku zapisano, do kogo należy i ile jest na nim pieniędzy. Zwykle istnieje też tabela transakcji, w której odnotowuje się, z którego rachunku na który przesłano pieniądze, w jakiej kwocie i walucie, oraz inne informacje.

Kiedyś, chyba w Pradze, odbyła się konferencja, na której czołowi przedstawiciele świata bankowości zastanawiali się, czy blockchain mógłby znaleźć zastosowanie w ich branży. Doszli do wniosku, że nie: blockchain to tak szczególna technologia, iż choć na pierwszy rzut oka może rozwiązywać problemy podobne do tych, którymi zajmują się systemy bankowe, robi to w zupełnie inny sposób.

Nie udało im się wskazać konkretnego przypadku użycia, w którym bank mógłby wykorzystać blockchain.

Blockchain w systemie bankowym? Tylko jeśli trzeba zdobyć zaufanie całego świata

Banki pozostają jednak ze swoimi klientami w szczególnej relacji. Istnieje między nimi podstawowe zaufanie: jeśli klient jednego dnia wpłaci 100 EUR, a następnego 200, trzeciego będzie mógł bez problemu wypłacić swoje 300 euro. Gdyby bank zawiódł przy tak prostej operacji na pieniądzach klientów, szybko straciłby reputację, a wraz z nią klientów. Klienci są zatem pewni, że bank, chcąc chronić dobre imię, nie będzie samowolnie zmieniał ich danych.

Charakter potrzebnego rozwiązania zmienia się jednak, gdy wyobrazimy sobie budowę globalnego systemu bankowego o takim poziomie bezpieczeństwa, by mógł bez przeszkód służyć jako ogólnoświatowy system rozliczeniowy całego społeczeństwa. Taki system z samej swej natury będzie miał wielu wrogów, zwłaszcza jeśli stanie się w pewnym stopniu przejrzysty. Przejrzystość prywatnych pieniędzy to bowiem koncepcja, która – jak się przekonałem – ma licznych przeciwników. Nawet gdyby uczestnictwo było dobrowolne, powodzenie systemu sprawiłoby, że pewnego dnia stałby się solą w oku ludzi, którym rosnąca przejrzystość przeszkadza. Aby odnieść sukces, musi więc dysponować mechanizmami pozwalającymi wykazać, że jego dane rzeczywiście są takie, jak być powinny, i nikt nie zmienił ich na czyjąkolwiek korzyść lub niekorzyść.

Właśnie w tym miejscu pojawia się blockchain i dostarcza narzędzi pozwalających wyjaśnić każdą pojedynczą wartość w systemie. Innymi słowy, wszystko, co ważnego się w nim wydarzy, musi w jakiejś formie trafić do blockchainu. Każdy nowo utworzony blok trzeba natychmiast skopiować do systemu podmiotu trzeciego. Nie przeprowadziłem jeszcze szczegółowego rozeznania, ale zasadniczo powinna to być usługa w rodzaju Amazon Quantum Ledger. A więc coś, gdzie mogę zapisać transakcję, która trafi do blockchainu operatora, i nie mam później żadnej możliwości ingerowania w historię raz zapisanych danych. Jest to wręcz technicznie wykluczone przez samą naturę systemu.

Jeśli wszystkie transakcje powstające w systemie zostaną zapisane w blokach, a te zaraz po zamknięciu będą zapieczętowywane i wysyłane do systemu podmiotu trzeciego, którego właściwości techniczne wykluczają zmianę raz otrzymanych danych, zyskamy następującą możliwość. Ktoś wskaże dowolną ważną informację w moim systemie i powie: udowodnij mi, że ta wartość nie została zmanipulowana, lecz powstała wskutek prawidłowych transakcji przetworzonych standardowymi ścieżkami, a nie na przykład dlatego, że ktoś zalogował się bezpośrednio do bazy i ręcznie zmienił saldo

z 5000 na 10000. Będę potrafił dowieść, że manipulacji rzeczywiście nie było. W gorszym przypadku coś nie będzie się zgadzało, a to będzie oznaczało, że ktoś zmienił dane. W systemie Viditeľné peniaze każdy wiersz ważnej tabeli będzie bowiem powiązany z transakcją, a tym samym z blokiem, które go zmieniły. Kontrola będzie polegać na tym, że ktoś wskaże dane, których poprawności mam dowieść. Prostym poleceniem wyświetlę listę transakcji, które w jakikolwiek sposób zmieniały daną informację. Jeśli zastosuję treść wszystkich tych transakcji do danego obiektu danych, powinienem otrzymać obiekt w dokładnie takiej postaci, w jakiej znajduje się obecnie.

W następnej części cyklu o architekturze VP wyjaśnię, jak należy dzielić dane w systemie według ich charakteru, jak będą one przetwarzane na różne sposoby, jak trafią do blockchainu i jak będą wykonywane operacje na odpowiednich obiektach biznesowych.